№ 13. Warszawa, dnia 31 (19) Marca 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Nakładem naszym wyszła i jest do nabycia w kantorze *Prawdy* oraz we wszystkich księgarniach książka p. t.

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena rs. 1.

Dla uniknięcia opóźnień lub też braków w odbiorze pisma, abonenci nasi zechcą łaskawie pośpieszyć się z przesłaniem prenumeraty za nachodzący kwartał. Prośbę naszą polecamy ich uwadze z tem większym naciskiem, że znowu początkowe numery zeszłego kwartału wyczerpały się.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dodatek kwartalny ark. 4—9 **Głównych prądów literatury XIX stulecia**. Ażeby uwolnić szan. abonentów od trudności dobierania arkuszów, przesyłamy go zbroszurowanym.

Z POD RĄBKA ZASŁONY.

Gdy przyboczny organ kanclerza niemieckiego mówi półsłówkami, odsłania rąbek jakiejś tajemniczej prawdy. Mimo całego obrzydzenia, ujawnionego nawet w parlamencie a uczuwanego powszechnie w prasie, osławiona *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*, jako proste lub odwrotne odbicie zamiarów najpotężniejszego w Europie męża stanu, musi służyć za chronometr, według którego politycy dziennikarscy regulują swoje zegarki. I oto znowu dostrzeżono w niej znaczące posunięcie się wskazówki. Z powodu ostatnich zażaleń poznańskich pisze ona:

„Chłop polski jest oddawna wiernym poddanym króla pruskiego, pojmuje dobrodziejstwa niezawisłości i dobrobytu, które osiągnął pod rządem pruskim, oraz ładu i uporządkowanych stosunków prawnych, które pod panowaniem polskiem były nieznane. Ale dla obu klas, które dawniej jedynie władały narodem polskim, dla szlachty polskiej i duchowieństwa, p. Schorlemer (poseł pruski, broniący poznańczyków) nie mógłby wynaleźć środka uczynienia ich „dobrowolnie uległymi" poddanymi rządu pruskiego. Pyta on, dla czego jest to możliwem w Austryi. Pomijamy, czy rusini którzy w Galicyi stanowią większość, byliby jego mniemania. To wszakże nie powinno ujść jego uwagi, że stosunek Austyi i Prus do polaków jest o całe niebo różny. Austrya — gdyby musiała i gdyby za to zyskała znośnego sąsiada — mogłaby się geograficznie i strategicznie bez Galicyi obejść, nie poniósłszy uszczerbku w swym składzie. Nadto Austrya śród słowiańskiej większości swojego zaludnienia potrzebuje, jako broni przeciw dążeniom panslawistycznym, uorganizowanego rdzenia narodowości polskiej. Od Galicyi przez Karpaty jest ona oddzielona naturalną granicą i połączona tylko granicą państwową. Mianowicie organizacya cislitawska, do której Galicya należy, wiąże się z nią tylko sztucznie. Austro-Węgry pozostaną bez Galicyi tem, czem są — z mniejszą jedynie liczbą ludności. Jakże inaczej, z samego spojrzenia na mapę, wygląda stosunek Poznańskiego i Prus Zachodnich do Prus! Nie będziemy wiele marnować słów w tym przedmiocie, powiemy tylko, że Prusy geograficznie bez tych prowincyi obejść się nie mogą."

O ile zachwyt w imieniu polskiego chłopa i apostrofa do p. Schorlemera są albo znanym i dawno odśpiewywanym, albo małoważnym kurantem, o tyle skreślenie różnicy przeznaczeń jednego żywiołu w dwu państwach musiało zwrócić na siebie uwagę. Musiało tem bardziej, że dotąd prawa, uzyskane przez Galicyę, uchodziły za wbity przyjacielską ręką cierń w oko Prus. Przedwielkanocna spowiedź *Nordd. Allg. Zeitung* rozprasza lub usiłuje rozproszyć to mniemanie, gdyż posuwa się nawet tak daleko, że przyznaje użyteczność polskiego „rdzenia" w Austryi. Nie ten wszakże punkt najbardziej uderzył zainteresowaną prasę, lecz drugi, mianowicie wyznanie, że Austrya bez Galicyi obejść się może i pozostanie tem, czem jest. Nie rozprowadzając szeroko sprzeczności między jednocześnem „potrzebowaniem" czegoś i możnością „obejścia się bez uszczerbku." zaznaczymy, że to półsłówko organu kanclerskiego jest pulsem jakiejś głęboko ukrytej arteryi politycznej, wychodzącej z serca pruskiego. Tyle nachorowaliśmy się na fantazye i maligny polityczne, że raczej możemy oduczać, niż pobudzać ogół do rozdymania frazesów prasy urzędowej w szybko pękające balony, do których żaden realny fakt przywiązać się nie da. Nie pójdziemy też za śladem wielu dzienników i z lotu niemieckiego kruka nie będziemy snuli wróżb żadnych. Nie możemy wszakże zaprzeczyć, że określenie wartości Galicyi i lekceważenie jej straty dla Austryi przy „znośnem sąsiedztwie" jest drobiazgiem bardzo znamiennym.

Jeżeli co w najskrytszych zamiarach ks. Bismarka budzi ciekawość, to jego plan względem Austryi. Prawie niepodobna uwierzyć, ażeby ten człowiek, który już ją raz rozbił, który podjął myśl zjednoczenia narodu i tak zuchwale szedł do celu, ażeby ten człowiek, mówimy, nie marzył o dokończeniu swego dzieła i chciał zejść ze świata bez próby przyłączenia do Niemiec tego ostatniego kawałka, który jesz-

cze przy Austryi pozostał. Niewątpliwie obawa ze strony Francyi powstrzymuje go od stawki wojennej w grze z Austryą i skutkiem tego rodzi się zagadka: czy Bismark na innej drodze dąży do pozyskania niemieckich prowincyj Austryi, za które chciałby ją wynagrodzić jakimś nowym nabytkiem? Czy ostatnim numerem jego przedsięwzięć nie jest myśl sprowadzenia przewrotu i wywołania nowych ukształtowań politycznych na południo-wschodzie? Hypoteza ta jest tak naturalną i tak konsekwentnie wypływałaby z jego dotychczasowych działań, że porzucić ją można tylko przed wątpliwością o jogo siłach. Człowiek to już stary, starszy niż wiek wskazuje, spracowany i schorowany; może więc już chce dokończyć jedynie życia w zdobytej chwale wtedy, gdy świat posądza go ustawicznie o wielkie zamiary. Od dwunastu lat nie dokonał niczego, co by z poprzednimi jego czynami w energii i doniosłości mierzyć się mogło. Czy wyjdzie znowu na scenę, czy pozostanie do zgonu w swej garderobie, przybierając się do głównej roli w nowym dramacie politycznym? Afisz — *Nordd. Allg. Zeitung* — nazywa go dziś chorym, ale w dziurce kurtyny widać ciągle jego bacznie patrzące oko. Newralgie jednak, nabrzmienie żył w nogach mają także swój wpływ na politykę, chociaż go w niej nie uwzględniamy. W sądzeniu ludzi za nadto odrywamy ich od wieku, chorób i rozmaitych przypadłości. Tymczasem jeden kufel nie w porę wypitego piwa może opóźnić bieg historyi lub przeszkodzić wywiązaniu się pewnego szeregu wypadków. Jeżeli więc nawet Bismark myśli o śmiałej operacyi na południo-wschodzie, to obok wielu innych czynników, zależy to jeszcze od jego niebezpiecznie—rozszerzonych tętnic.

PROBIERZ OŚWIATY.

W Belgii wybraną była niedawno przez Izbę posłów komisya ankiety szkolnej. Oprócz wielu innych badań podjętych z jej wpływu zasługują na uwagę rezultaty, osiągnięte przez ministeryum wojny a mające na celu sprawdzenie, jaki jest stopień wykształcenia rekrutów w chwili, gdy do wojska wstępują. Poddano egzaminowi 8,917 osób, z których 2,437 było bez żadnego wykształcenia. Za takich uznano żołnierzy, którzy nie umieli się podpisać, lub przynajmniej nie umieli się podpisać dokładnie. Probierz dość słuszny, boć oczywiście ci, co tylko podpisać się umieją, pisać nie umieją, a jeśli który z nich i umie czytać, co jest wątpliwem, to w każdym razie czytanie musi być dlań czynnością bardzo trudną, której zgoła nie wykonywa lub chyba w wypadkach niezbędnej konieczności.

Z liczby owych 2,437 kompletnych „nieuków" 1,877 uczęszczało do szkół! Niektórzy odbyli nawet trzyletni kurs nauk. Istotnie ciekawa rzecz, czego się oni w tych szkołach uczyli a raczej czego ich tam uczono, bo niepodobna, iżby po pewnym czasie uczenia się mogli zapomnieć wszystkiego, nawet sztuki pisania, przed niedalekim stosunkowo terminem rozpoczęcia służby wojskowej. Chyba że te szkoły niedbale były prowadzone i nie kontrolowały, czy uczniowie bywają na lekcyach, czy też nie.

Ale ciekawszym jest sposób egzaminowania pozostałych 6,480 żołnierzy, których uznano za posiadających pewne wykształcenie. Szło o przekonanie się, jaki jest w każdej jednostce stopień wiedzy. W tym celu postawiono następujące pytania:

1. Jakie imię i nazwisko nosisz?
2. W której miejscowości się urodziłeś?
3. Gdzie leży ta miejscowość?
4. W jakim okręgu?
5. W jakiej prowincyi?
6. Czem się zajmowałeś przed wstąpieniem do wojska?
7. Jak się nazywała z domu twoja matka?
8. Dodaj razem liczby: 492, 102 i 18.
9. Ktoś kupuje 35 worków kartofli po 9.75 franków za worek, ile za wszystkie zapłaci?
10. Tenże sprzedaje potem owe 35 worków kartofli za 456.25 fr.; ile zarobił na każdym worku?
11. Ile ma metrów kilometr?
12. Ile ma litrów metr sześcienny?
13. Narysuj trójkąt.
14. Narysuj prostokąt i podziel go na sześć części równych.
15. W którym kraju leży miasto Londyn?
16. Wymień cztery główne miasta Belgii i nad jakiemi one rzekami leżą?
17. Jak się oznacza cztery kardynalne punkty nieba w chwili zachodu słońca?
18. W jakich trzech stanach spotyka się w przyrodzie woda?
19. Jakie są najpierwsze środki ratowania człowieka tonącego po wydobyciu go z wody?
20. Do czego służy termometr?
21. Czy Mojżesz żył przed Chrystusem, czy po Chrystusie?
22. Wymień którego ze sławnych belgów i opowiedz, czem się wsławił?
23. Zacytuj jakikolwiek fakt odnoszący się do epoki hiszpańskiego panowania nad Belgią?
24. Wymień niektóre najgłówniejsze obowiązki człowieka.
25. Kto zarządza gminą?
26. Jakie władze konstytucya uznaje?
27. Kto w Belgii prawa ustanawia?
28. Wymień niektóre książki, któreś czytał.

Pytania te można podzielić pod względem trudności na trzy stopnie; nie przekraczają one jednak programu elementarnego w Belgii wykształcenia.

Tymczasem rezultat egzaminu był bardzo smutny. Stopnie dawano trzy: 0, 1 i 2 tj. zły, dobry, bardzo dobry. Wyjąwszy 496 żołnierzy, którzy uczęszczali do szkół średnich, reszta 5,984 tak się przedstawia, że na 28 pytań

154	otrzymało	razem	5 stopni
363	„	„	6 do 10
1,496	„	„	11—20
1,875	„	„	21—30

Trudny wybór

przez

M. Jokaia.

W stolicy mieszkał szewc, niemogący pomimo najlepszych chęci zbogacić się. Nie dla tego, aby ludzkość sprzysięgła się od tej pory nie nosić obuwia, nie dla tego też, że magistrat rozkazał oddawać robotę za połowę ceny. Nie! Wykończona robota była doskonałą, a kupujący uskarżali się, że niepodobna zedrzeć obuwia, własnoręcznie przez majstra zrobionego. Nie brakło mu też obstalunków, wszyscy płacili umówioną cenę, jednak majster Jan nie zbierał pieniędzy. Nie mógł zebrać, gdyż niebo dziwnie go błogosławiło, darząc corocznie dziecięciem — na przemian chłopcem i dziewczyną, a wszystkie dzieci chowały się zdrowo i wesoło, niby rybki w wodzie.

— Ach miłosierny Panie! — mawiał nasz majster gdy liczba jego potomków wzrastała. Kiedyż szereg ten będzie skończony?

Narodziło się dziewiąte dziecko, żona umarła, nadszedł smutny koniec szeregu.

Majster Jan został osieroconym z dziewięciorgiem dzieci. To nie bagatela! Kilkoro uczęszczało już do szkoły, inne należało uczyć chodzić, jedno nosić na ręku, jedno nakarmić, innemu zrobić bawarkę, inne ubrać, jeszcze inne umyć—a o wszystkich mieć staranie!

Wierzcie mi kochani, nie mały to trud! Gdy trzeba było przykrajać obuwie dla dzieci, to dziewięć par od razu! Gdy chleb krajać, dziewięć kawałków! Gdy łóżeczka posłano, cały pokój, od drzwi do okna, stawał się miejscem spoczynku, przepełnianem większemi, mniejszemi, jasnemi i ciemnemi główkami.

— O dobry Boże, jakże mnie błogosławiłeś! — wzdychał majster Jan, siedząc po północy jeszcze przy robocie i poprawiając coś koło jednego lub drugiego dziecka. Jest ich dziewięcioro. Jednak dzięki Bogu za to, nie mam jeszcze powodu skarżyć się; wszystkie dzieci zdrowe, piękne i dobre, mają proste członki i zdrowe żołądki. A lepsze dziewięć kawałków chleba, niż jedna butelka lekarstwa, lepiej dziewięć łóżeczek, niż trumienkę pomiędzy niemi. Uchroń Boże wszystkich rodziców od tego, nawet i tych, którym osiem zostaje, gdy jedno umrze!

Dzieci majstra nie miały też najmniejszej ochoty umierać, zdawały się być zdecydowane przetrwać wszystko, bo zimno im nie szkodziło, a suchy chleb smakował.

Było to akurat w Wigilię, gdy razu jednego majster Jan późno do domu wracał, zmęczony bieganiem; (miał bowiem dużo oddać roboty, a mało zebrał pieniędzy, zakupiwszy za nie częścią surowy materyał, z części zaś opłaciwszy wydatki codzienne). Przechodząc rynkiem ujrzał w sklepach mnóstwo zabawek na gwiazdkę. Przystanął mimowolnie, myśląc:

— Powinienem właściwie coś kupić. Jakże, dla wszystkich dziewięciorga? Niepodobna — za dużo! Dla jednego? Aby inne zazdrościły mu? Nie, niech się cieszą wszystkie razem — otrzymają podarek ładny, miły, nikt im go nie zabierze i nigdy się on nie zniszczy!

— Dziateczki, jesteście wszystkie? Wiecie, że dziś Wigilia? dziś się cieszyć należy, nie będziemy pracować, lecz wesoło święcić ten wieczór!

Dzieci ucieszyły się niezmiernie.

— Czekajcie tylko, aż nauczę was pięknej pieśni. Śliczna to pieśń, śpiewać ją będę i przeznaczam jako podarek na gwiazdkę!

Zaledwie ojciec wymówił te słowa, dzieci otoczyły go, skoczyły na szyję o obiecaną prosząc piosenkę.

— No, wszak powiedziałem — gdy będziecie grzeczne moje dzieci. Stańcie rzędem, najpierw starszy, potem młodszy itd. porządkiem.

Majster Jan ustawił dzieci w szeregu a dwoje najmłodszych wziął na kolana.

— Teraz cicho! Ja będę śpiewał, a wy za mną!

I zaczął pobożnie nucić: „W żłobie leży..."

Starsze śpiewały za nim, trudniej jednak było z małemi, które przekręcały melodyę. W końcu wyuczyły się, a śpiew ku wielkiej ich radości stał się jednogłośnem brzmieniem cienkich głosików.

Cieszyli się też pewnie aniołowie w niebie, lecz mniej ucieszył się mieszkaniec pierwszego piętra domu, w którym mieścił się majster.

Na górze mieszkał w dziewięciu pokojach nieżonaty pan; w jednym pokoju siadywał, w drugim jadał, w trzecim palił, w czwar-

1,359 otrzymało razem 31 — 40
615 „ „ 41 — 50
122 „ „ 51 i więcej.

Porównywając pojedyncze pytania, okazało się, że ze 100 żołnierzy tylko 13 wiedziało, jakie są główne obowiązki człowieka; 60 na stu nie wiedziało, że Mojżesz żył przed Chrystusem; 93% nie słyszało nigdy o hiszpanach i ich panowaniu nad Belgią a tylko 30% wie, kto zarządza gminą, i to zapewne więcej z praktyki życiowej, niż ze szkoły.

Przykład takiego egzaminu dany przez komisyę szkolną w Belgii zasługuje na uwagę; jest to daleko bardziej pouczające, niż prosta statystyka analfabetów, praktykowana w innych armiach i całych społeczeństwach, z której można tylko ocenić głębokość intelektualnej nędzy, ale rozejrzeć się w jej przyczynach i poznać wad szkolnictwa — nie można.

F. S.

Z FRANCYI.

Paryż, 18 marca.

Wybory.

Dwa razy w ostatnich tygodniach przesunął mi się przed oczyma cały proces wyborczych zabiegów w dwóch najbardziej radykalnych, robotniczych okręgach Paryża. Zamiast głośnych w całym świecie nazwisk Blanca i Gambetty do Izby deputowanych został wpisany dr. Bourneville, a Sigismond Lacroix bez kwestyi wkrótce doczeka się tego zaszczytu. Pierwszy znany jest bliskim sąsiadom swojej dzielnicy. O drugim wiedzą szersze nieco koła ze wspomnień o prezydenturze w Radzie municypalnej.

Nam były nieobojętne losy młodego Lacroix. Przyczyną tego jest swojsko dla nas brzmiące imię i to, że wysuwający się na widownię mąż stanu, za czasów kiedy był jeszcze zwykłym śmiertelnikiem, nosił polskie nazwisko. Poświęcił go na ołtarzu wszechpotężnej bogini, sławy. Motyl zrzuca ciężką powłokę gąsienicy, kiedy się chce wznieść wyżej. Pan Lacroix w ten sposób odtrącił od siebie znamię pochodzenia. Może chodziło mu o całość języków swych wyborców, może się lękał siły przesądów. Jeżeli pospolitością czysto francuskiego dźwięku chciał zatrzeć niemiłe wspomnienia o cudzoziemskości, to dobrze, że nie czytuje teraz pism polskich. Trudby sobie irytacyą życie, drogie zapewne dla politycznych współbraci, niemających na razie godniejszego następcy na osierocone po wielkim patryocie stanowisko. Niejedną by zapewne pretensyę posłał ku posępnym niebiosom rodzinnej północy i połączył głos swój z tymi, co nieraz już gorzką wypowiadali nam prawdę. Miałby racyę francuski polityk, mieli ją zawsze ci, co zimnym słowem chłodzili naiwne zapędy.

W zapędach tych jednak jest jakiś rzewny ton, który w tym razie stawia mnie zawsze po stronie błądzących. Czy miłość matki może się trzymać zawsze drogowskazów rozsądku? Czy ojciec, strwożony o zagrożony byt rodziny, potrafi w każdej chwili zachować godność, wymaganą przez ochmistrzów przyzwoitości?

Pan Locroix jest synem polaka i matki francuski. Urodził się w Warszawie*) i w późniejszych latach życia zaszczycił nasz gród swoją bytnością. Dawniej, kiedy laury we śnie tylko zdobiły jego czoło, miewał ciągłe stosunki z polską kolonią w Paryżu. Mówił wtedy doskonale po polsku. Z czasem jednak wzrastająca ważność obowiązków nie pozwoliła mu pamiętać o przyjaciołach pierwszej młodości a jednocześnie tracił też i wprawę języka. Znajomi przestali go widywać w czysto polskim domu ojca. Podczas wojny, kiedy dawniejszy poseł z Belleville (zdrajca według opinii p. Lacroix) dawał światu przykład poświęcenia i odwagi, dzisiejszy jego następca spełniał bardziej bezpieczną misyę urzędnika w zarządzie miejskim VI-go okręgu. Zapytywany o przyczynę tak pokojowego usposobienia w młodym wieku, odparł, że jest polakiem i przez to znaleźć miejsca nie może w armii. Potem znowu, kiedy przypomniano mu obce pochodzenie, odparł, iż spotkało go wprawdzie nieszczęście urodzenia się na obcej ziemi, ale w nikim tak czysto francuska krew i uczucia nie biją jak w nim. W 1881 roku okazało się, że brak odwagi przed 10 laty był tylko chwilową słabością, gdyż zdobył się na krok o wiele zuchwalszy, niż pokazanie prusakom piersi na wałach Paryża. Oświadczył wyborcom 20 okręgu, że jest godniejszym reprezentowania narodu francuskiego w Izbie, niż organizator obrony narodowej!

Są to fakta czerpane z opowiadań dawnych i dzisiejszych znajomych. Powtarzać je można, gdyż rozpowiedziały je już gazety francuskie, należy nawet skonstatować istnienie podobnych pogłosek. Nie trzeba jednak brać wszystkiego za bezwzględnie prawdziwe. Złośliwość ludzka i gorliwość przedwyborcza mogły dodać zbyt wiele upiękniających szczegółów. Bardzo być nawet może, że charakter następcy Gambetty jest jak szczyt Jungfrau, błyszczący, niepokalany, wzniosły. Może... Przypomina mi się wiersz Zakrzewskiego:

W piekle dręczy boleść wściekła,
A ja bym nie rzucił piekła,
Gdybym z piekła wiódł swój ród.

Poeta źle swoją myśl wyraził, lub może my jesteśmy dziś bardziej wymagającymi. Gdyby mu rozmiar wiersza pozwolił, byłby powiedział „nawet piekła.“ A tymczasem porzucenie nieba nie byłoby rodakowi shańbiło nowego nazwiska. Jeżeli jednak nie można zatrzeć żalu do niego, to koniecznie uznać trzeba łagodzące okoliczności. Fakt razi swą niezwykłością.

Wracam do wyborów. Nasunęły mi one garść spostrzeżeń przed oczy i nieco myśli do głowy. O nie mi właśnie chodzi, o pana Lacroix zaczepiłem mimochodem jedynie.

Wśród przeróżnych słabości, czy może właściwości tylko umysłu ludzkiego, trudność uwolnienia się z pod wpływu raz przyjętych wyobrażeń, wierzeń, pojęć należy do najcharakterystyczniejszych.

Wiadomem jest, jak w sferze wynalazków fizycznych rzadko zjawiają się nowe zasady; setki głów majstrują bezustannie

*) Podobno całkiem przypadkowo podczas przejazdu matki. O ile nam wiadomo, Lacroix zawsze uważał się za francuza (*Red*).

---

tym spał, a kto wiedział, do czego inne służyły?

Bogaty, zamożny ten człowiek siedział tego wieczora w ósmym pokoju, rozmyślając, dla czego potrawy mniej były smaczne? dla czego gazety nic nie zawierały interesującego? dlaczego w obszernych pokojach nie dość powietrza? dlaczego nie znajduje wygody na swej miękkiej sofie?— gdy z mieszkania majstra Jana zaleciał śpiew wigilijny najpierw cichy, potem coraz głośniejszy. Z początku nie zwracał na to uwagi, sądząc, że ucichnie prędko; lecz gdy się wzmagał coraz bardziej, zeskoczył odszukał mieszkanie majstra i wszedł właśnie w chwili, gdy śpiewający odpoczywali.

Gospodarz powitał go z uszanowaniem.

— Jesteście majstrem Janem? — spytał bogaty gość.

— Tak, panie. Żądacie pary butów może?

— Nie po to przychodzę. Macie wiele dzieci?

— Tak, łaskawy panie, mam większe i mniejsze. Wiele ust potrzebujących chleba.

— Jednak wiele ust i do śpiewu. Wiecie, majstrze, chcę przyjąć jedno z waszych dzieci, zrobię was szczęśliwym człowiekiem, przyjmę dziecko za swoje, wychowam je, pojedzie ze mną za granicę, stanie się bogatym panem i innym jeszcze dopomoże.

Majster się zadziwił. Jedno z jego dzieci miało się stać bogatym człowiekiem! Czy zgadza się na to? Naturalnie! Wszak to wielkie szczęście!

— Wybierajcie, które chcecie, tylko szybko.

Majster począł wybierać.

— Oto jest Karolek. Tego nie dam, uczy się pilnie i będzie księdzem. Drugie — dziewczynka — dziewczynek łaskawemu panu nie trzeba. Oto Franio, ten pomaga mi, nie mógłbym się bez niego obejść. Janek, o ten moje nosi imię, nie mogę go dać. Ach, Józio, ten był ulubieńcem matki; biedna nie miałaby w grobie spokoju, gdybym oddał jej ulubieńca obcemu! Dwoje pozostałych są zbyt drobne, cóż by łaskawy pan z niemi począł?

Majster przedstawił wszystkie dzieci, nie mógł jednak żadnego z nich wybrać; znów zaczął wyliczać, począwszy od młodszego, a w końcu nie wiedział, które oddać ma, kochając je wszystkie.

— Dzieci — rzekł — wybierajcie same, które z was chce być wielkim panem i jeździć karetą? No mówcie, które chce, niech powie!

— Biedny człowiek płakał prawie, mówiąc, a dzieci zamiast odpowiedzi, zaczęły się cisnąć do niego, chwytając za ręce, nogi, za fartuch, kryjąc się przed wielkim panem. Nie mógł się dłużej majster powstrzymać, obejmował dzieci kolejno, całował je, a gorące łzy spływały na główki płaczących.

— Nie, łaskawy panie, żądaj, czego chcesz, dzieci nie dam nikomu, choć mnie niebo dość niemi obdarzyło!

— Widzę—odrzekł bogacz—że nie możecie zadosyć uczynić mej prośbie. Zróbcie mi jednak przyjemność i nie śpiewajcie chórem z dziećmi; ofiarę tę okupuję tysiącem złotych.

Majster Jan rzadko nawet słyszał słowa: „tysiąc złotych;“ teraz czuł papierki w ręku. Pan do mieszkania wrócił a majster papierki oglądał i w końcu z trwogą do szafy schował. Milczał, i dzieci milczały, śpiewać nie było wolno. Starsze zasmucone usiadły na stołkach, napominając młodsze, by nie śpiewały, bo bogaty pan mógłby usłyszeć. Sam majster w milczeniu krzątał się po pokoju, gdy ulubieniec nieboszczki żony prosił, by znów piękną pieśń zanucił, odsunął go na bok, mówiąc:

— Nie wolno nam śpiewać.

Potem siadł przy warsztacie i zaczął robotę. Mimowoli nucić zaczął nagle melodyę śpiewu, potem się opamiętał, uderzył w usta, wstał raptownie, otworzył szafę, wyjął pieniądze i pobiegł do bogacza.

— Dobry panie, przyjmcie łaskawie pieniądze wasze, by nie były moją własnością i abym śpiewać mógł, gdy zechcę; radość mych dzieci droższą jest, niż tysiąc złotych.

Mówiąc te słowa, położył pieniądze na stole, wrócił do swej izdebki, na nowo zaczął pieścić dzieci, ustawił je w szereg i... rozległ się śpiew.

Dzieci znów się radowały i szczęśliwszemi niż kiedykolwiek czuły, a bogaty pan chodził po dziewięciu pokojach, rozmyślając: dla czego ludzie radują się na tym nudnym świecie. Jakie mają powody?

Tłom. *R. Łaska.*

---

nad wyszukaniem czegoś odmiennego i ani spostrzegają, że ciągle tylko kręcą się w kole, zakreślonem przez jedynego i pierwszego twórcę. Toż samo dzieje się w świecie zjawisk społecznych. Odwieczne pomysły wywracane bywają do góry podszewką i patentowane jako nieznany dotąd, a skuteczny środek do powszechnego szczęścia.

Powstała dziś nowa władza — lud. Dobrą stroną tego zjawiska jest to, że władza taka zawsze pozostawać musi fikcyjną, chociaż wielbiciele gotowi są zawsze brak winnego uszanowania dla *peuple souverain* karać jak niegdyś obrazę majestatu. Całe szczęście—jak to już dawniej mówiłem—że wrodzony rozsądek nie pozwolił nigdy wcielić w życie demokratycznych zasad w całej ich przesadzie. Gdyby np. ludwładca zechciał burzyć obserwatorya, jako widome znaki mocy szatańskiej, to skrajna lewica deputowanych pierwsza sprzeciwiła się wykonaniu nowo-monarszej woli. W gruncie więc rzeczy, każdy z tych panów nie jest, jak to pięknie wypowiada, sługą narodu, ale sługą pewnej idei, przez naukę zdobytej, którą za prawdę uważa. Ponieważ jednak idee takie dla szczęścia ludu budowane są, więc je, dzięki psychicznemu zboczeniu, uosobiają z ludem samym.

Rzecz naturalna, że gorsząca i kłopotliwa niezgodność woli zbiorowej zdarza się aż nadto często i objawia się przy każdych wyborach. Kto ma racyę wśród licznych partyj, gdzie jest rzeczywista wola ludu? Wszystkie zagadnienia państwowe sprowadzają się do takiego zadania, jak odszukanie prawdziwego pierścienia w Lessingowskim dramacie.

Ponieważ ciała prawodawcze prowadzą zagraniczne sprawy narodu, regulują administracyę, sądownictwo, oświatę, wojsko itd. więc naturalna rzecz składać się powinny z ludzi odpowiednio przysposobionych. Tymczasem nikt tu o kwalifikacyę nie pyta, jedynie chodzi o przekonania i nieco o moralność. Zdaje się, że każda partya mówi do wyborców: weźcie sobie na przedstawicieli poczciwych i dobrze myślących ludzi, choćby nawet prostaczków, to ich sam duch święty oświeci. Nigdy żaden kandydat nie powie w odezwie: jestem dobry prawnik, oficer, pedagog, finansista, każdy tylko klnie się, że ma dobre chęci zreorganizowania państwa wszechstronnie, według mniej, lub więcej niemożebnego planu. W V-tym okręgu jeden z pretendentów na zastępstwo Blanca pod nazwiskiem swojem wydrukował wielkiemi literami: fotograf.

Co ten człowiek będzie robił w Izbie? przychodziło na myśl.

W dodatku jeszcze krążą, dziś już szczęściem zdyskredytowane mocno pojęcia, że robotnicy powinni wybierać robotnika, gdyż ten tylko nie przestanie myśleć o potrzebach najliczniejszej klasy. Gdyby nawet sprawa proletaryatu była jedynem zadaniem państwa to i tak jej nie będą naturalnie rozwiązywały ciemne głowy, nie tylko niemogące zdobyć się na dostateczną ilość abstrakcyjnej pracy umysłowej, aby stworzyć plan przyszłości, ale niemające dokładnego pojęcia o tem, co istnieje. Sielankowość w polityce była dobrą za czasów Rouseau'a, ale dzisiaj!

Prócz tego głównego wyniku panujących we Francyi pojęć o władzy, istnieje jeszcze drugi. Potrzeba ciągle się kłaniać tym, od kogo zależą nominacye. Z jednej więc strony potrzeba pochlebstw, psucia tłumów, zamiast ich rozwijania, przypominania im ciągle praw, bez wzmianki o obowiązkach. Z drugiej strony niemożebne do spełnienia obietnice, skąd kłamstwo, które dziś się stało czemś moralnem. Zdaje się, że ani wyborcy od kandydata, ani kandydat od wyborców nie wymaga wiary w to, co się drukuje na kartach programowych. Dr. Bourneville obiecał wszystko. co tylko można pomyśleć, niemal gruntowną reorganizacyę Francyi w ciągu trzech miesięcy, a pomimo to na dole, jako *nota bene*, dodał, że rozumie się program ten, to tylko minimum. Z tego wynika dalej niewłaściwy stosunek wzajemny i względem zobowiązań, niewiara ludności w prawodawcze instytucye itd.

Znaczną część złych skutków takiego stanu rzeczy dałoby się usunąć przez wprowadzenie wyborów z listy. Deputowani mniej by byli zależni od wyborczych zaścianków, mniej by musieli liczyć się z względami tego lub owego przywódzcy opinii. Programy układane przez całą partyę miałyby bliższy związek z rzeczywistością, stałyby się zobowiązaniem pewnem. (Istota wyborów z listy polega na tem, że zamiast maleńkich okręgów potworzonoby duże, departamenty np. i partya jakaś podawałaby nie każdego kandydata oddzielnie, lecz całą listę według ilości deputowanych). Nareszcie interes solidarnie odpowiedzialnej partyi nie dopuściłby obioru przyjaciela, zdolnego do niedźwiedziej gorliwości i zręczności.

Że to by rzeczywiście nieco pomogło, dowodzą wybory do rady municypalnej. Tam okręgi kilka razy mniejsze i potworność obietnic odpowiednio większa.

Dzisiejszy sposób tworzenia władzy daje wielki przywilej ludziom obdarzonym wymową, która nie koniecznie pociąga za sobą rozum, uzdolnienie i uczciwość. Ludzie najbardziej usposobieni do kierowania sprawami, jeżeli obdarzeni są słabym organem głosu, lub jeżeli jąkają się, skazani są na bezczynność. lub na sprawowanie podrzędnych funkcyj.

Do tego wszystkiego dodać trzeba intrygi, potwarze, przekupstwo itd. Słowem proces wyborów nie należy do najjaśniejszych stron parlamentaryzmu, przeciwnie, jest wielką rysą na świeżo wypokostowanym jego froncie.

Tak niedawne czasy, kiedy myśl zakazana o nowym porządku rzeczy dreszczem świętej rozkoszy przenikała jednostki i tłumy; to też dziś nieraz zdobyć się trudno na otwartość wyznania, że urzeczywistnione w znacznej części marzenia o wiele nie dorosły pokładanym nadziejom. Coraz to jednak liczniej powstające narzekania stwierdzają, że do licznych kwestyj przybywa nowa: kwestya formy rządu — parlamentarna.

Wszyscy niemal mężowie stanu i polityczny naukowi starają się wyprowadzić parlamentaryzm z dotychczasowej ciągle wzrastającej jałowości. Nawet w klasycznej ziemi tego rodzaju instytucyi zaczyna się psuć wzorowo funkcyonująca dotąd maszyna. Dopóki istnieli tylko wigowie i torysi, było dobrze, rządziła ta partya, która miała stałą większość; od czasu jak weszli na widownię radykali i irlandczycy, trwałość rządu z dniem każdym maleje. Może niedalekie czasy, kiedy złe wspomnienie anarchii naszych sejmów zostanie przekreślone przez niemoc współczesnych istytucyi reprezentacyjnych.

Jak zwykle, reorganizatorowie do nowej budowy chcą użyć materyału pozostałego ze starych ruin, trwałość też ich dzieła jest wątpliwą. Dopóki jednak kwestya nie zostanie powszechnie uznaną, że parlamentaryzm był może koniecznością, lecz doskonałością wcale nie jest, dopóki potrzeba zmiany nie stanie się krzyczącą, dopóki nie zniknie nadzieja poprawy, dopóty wątpliwem jest, czy racyonalne rozwiązanie mogłoby znaleźć uznanie potrzebnej części ogółu.

K. T.

REFORMA LOGIKI*).

Rosya, która na polu matematyki wypielęgnowała kilka cudzoziemskich i tyleż swojskich znakomitości (Buniakowskij, Czebyszow, Zołotariew), w logice nie miała wielkich przedstawicieli. W liczbie oświeconych narodów stoi ona pod tym względem na ostatniem miejscu i stokroć mniej od innych może rywalizować z ojczyzną wielkich reformatorów tej nauki: z Anglią i Niemcami. Bardzo popularny w Rosyi J. S. Mill nauczył ją używać metody indukcyjnej, Bainowi przyznano zasługę wzniesienia pomnika empiryzmowi kosztem intuicyi i wsparcia na nim logiki przez wprowadzenie do niej przykładów z nauk fizycznych. W tym kierunku podejmowane badania musiały się uśmiechać wielu światłym umysłom, a prof. Grotowi zawdzięczamy nietylko przeczucie, ala wyłożenie i sformułowanie zasad, wprawdzie nie logiki, jako takiej, lecz reformy jej, co w systematycznem badaniu znaczy bardzo dużo.

„Cała logika formalna, tak sucha i odstręczająca swoim szkieletem — mówi polski tłomacz — nabrała pod piórem Baina pewnego życia, jako cząstka metod naukowych.“ Uwaga ta nasuwa się nam na myśl w całej prawdziwości i żywotności, kiedy rozważymy, jak wielkie drogi czekają ową gałąź wiedzy w kierunku wskazanym przez Grota. Łatwo przekonać się, że usiłuje on zespolić dotychczasowe formuły (o ile ich nie burzy) z prawami, wykrytemi na polu innych umiejętności, a przeważnie przez psychologię, która jest dla niego tem, czem dla Baina fizyka. Gdyby „Przyczynek do reformy logiki“ miał formę lepszą, mógłby liczyć na wielką popularność. W każdym zaś razie zasługuje na przetłomaczenie.

„Najbliższa przeszłość i stan obecny logiki —pisze autor—dowodzi potrzeby gruntownych zmian w budowie tej nauki. Wszystkie dotychczasowe próby zreformowania jej nie zostały uwieńczone pożądanym skutkiem, wskutek tego, że usiłowaniem ich było przystosować do nowych pierwiastków myśli wiele starych pojęć, których pochodzenie jest czysto metafizyczne. Z tego założenia wypada, że zreformowanie może nastąpić wtedy tylko, gdy słuszność wszystkich dotychczasowych układów logiki poddamy zaprzeczeniu, a natomiast zadanie jej wciągniemy do łańcucha zadań nauki wogóle, a w szczególe zespolimy z treścią teoryi świadomości.“

Według niego: 1) Dawna teorya budowy sądu, jako ustosunkowania podmiotu i orzeczenia powinna być odrzucona. 2) Klasyfikacya sądów i wniosków, oparta na przeciwstawieniu wzajemnem podmiotu i orzeczenia, składu istotnego myślenia nie wyobraża. 3) Dotychczasowe tłomaczenie teoretyczne i praktyczne zasad podstawowych, takich, jak zasada tożsamości, pewnik sylogizmu i i., stanowiących w tej postaci ogólne pierwiastki myślenia, należy uważać za niewystarczające; powinny one być zastąpione formulami asocyacyi, którą niekiedy zdala przypominały. 4) Pogląd utarty na przyczyny zboczeń umysłowych jest nieprawidłowy: przyznając wszystkim działaniom umysłowym, poznawczym w obrębie praw ustroju człowieka, nieazwodność, winniśmy tłomaczyć zboczenia myśli przyczynami wyłącznie ujemnemi: jako to: niewiadomością, brakiem spostrzeżeń itp. 5) W związku z wnioskiem powyższym jest konieczność porzucenia starych środków walki ze zboczeniem, za pomocą reguł czysto formalnych.

---

*) *K woprosu o reformie logiki. Opyt nowoj teorii umstwiennych processow* p. Mikołaja Grota. Wydanie hist. filol. instytutu w Nieżynie. Druk Brockhausa w Lipsku. 1882.

Metoda logiki, zdaniem p. Grota, nie może w niczem różnić się od metody wszystkich innych nauk, ale ze względu, że stan jej dzisiejszy jest niemowlęctwem, indukcya i dedukcya pierwiastkowa powinny do jakiegoś czasu panować w niej nad indukcyą i dedukcyą wyższą, i dla tego też stosowanie do działań logiki środków „metody eksperymentalnej“ i analizy matematycznej uważać należy za przedwczesne.

Uzasadnić i uogólnić działania logiki mogą tylko dedukcye z innych nauk, poświęconych ustrojowi człowieka, mianowicie z tych, które poprzedziły na drodze rozwoju teoryę świadomości. Należy przytem z nauki poznania, stanowiącej właściwą logikę, wyłączyć metodykę, która uczy korzystać z metod poznania, a więc stoi na najwyższym szczeblu świadomości.

Wreszcie można tu nadmienić, że sposoby poznania klasyfikuje on na: 1) odbierające, czyli zasilające myśl treścią, 2) umysłowe, przetwarzające surowy materyał umysłowej wrażliwości i 3) wydające, które ujawniają owoc twórczości umysłowej z udziałem słowa. Obrawszy za punkt wyjścia prawo rozwoju i wspólność podstaw wszelkiego badania, autor poświęcił umysłowej działalności człowieka najwięcej miejsca i z tego względu dzieło to można uważać za monografię, traktującą o umyśle, z pominięciem wrażeń, które tak szeroko opracował Taine, mówiąc o „znakach“ i „obrazach,“ zarówno jak teoryi słowa, co znów zarzucił doktorantowi jeden z podrzędniejszych oponentów, nie odróżniający od logiki gramatyki.

Wszystkie działania umysłu — podług Grota — mogą być sprowadzone do typu skojarzeń (asocyacyi) w znaczeniu najogólniejszem. W skład tego pojęcia wchodzą dwie grupy: pierwsza grupa działań szczegółowych składa się z asocyacyi, disocyacyi i disasocyacyi; autor nazywa je mechanicznemi; druga z integracyi, disintegracyi i differencyacyi, które przez wzgląd na zupełność tych działań nazywa organicznemi. Urzędowy oponent prof. Gogockoj zarzucał Grotowi podczas rozprawy doktorskiej z tego dzieła, że jego asocyacye podobne są do worka grochu, w którym mamy połączenie jednostek, ale brak *integrum*; jest to jednak zarzut bezpodstawowy, gdyż Grot przyjmuje kilka stopni skojarzeń a w tej liczbie asocyacyę widzi w procesie myślenia dziecka, zaś najwyższy — integracyę w złożonym procesie.

Działania umysłowe, jak rzekliśmy, przechodzą przez różne gatunki rozwoju czyli zawisłości. Otóż jedyne kryteryum przy określaniu jej stopnia stanowi w logice stopień świadomości; myśl nie nowa, ale szczęśliwie zastosowana. Snując ją dalej, Grot przyjmuje cztery szczeble myślenia: nieświadomie niedobrowolny, niedobrowolnie świadomy, świadomy dobrowolnie i dobrowolnie metodyczny. Te główne stopnie rozwoju umysłu dzielą się na szereg szczegółowych; szczegółowe na nowe jeszcze więcej szczegółowe itd. do nieskończoności.

Na wszystkich głównych i drugorzędnych stopniach rozwoju, działania myśli równie jak jej wytwory, czyli zjawiska umysłowe, potrzeba rozróżniać za pomocą nazw i oznaczać za pomocą symbolów. W tym celu autor gotów jest korzystać ze słownictwa przyjętego w dotychczasowej psychologii i logice. Uważając przytem słownictwo i znakologię za rzecz umowy, uprzedza on, że własnego systemu terminów nie głosi wcale za ostateczny. To też trudno się zgodzić z drugim oponentem, profesorem A. Kozłowem, który zarzucił Grotowi pożyczanie nazw przeczeń z góry razem z całą teoryą logiki obalonych. Poważniej przedstawia się uwaga, że autor *Przyczynka* oskarża logikę o posługiwanie się metafizyką, a sam wpada w mitologię, co, według Kozłowa, bije w oczy z teoryi ruchu atomów, za pomocą której Grot tłómaczy działania umysłowe. Odparł on zarzut powyższy, nadmieniając, że teoryę ruchu atomów uważa za hypotezę a bynajmniej nie za prawdę naukową.

W tem miejscu wypada nam zaznaczyć pogląd, który Grot głosi za najsamodzielniejszy i całkiem oryginalny. Chcąc wyjaśnić proces stopniowego wzrastania świadomości, tłomaczy go sobie przyczynami wewnętrznemi, a mianowicie, za pomocą hypotezy specyficznych wrażeń (*oszczuszczenij*) umysłowych, rozwijających się stopniowo. Wrażenia te stanowią, jak sam zaznacza, prawdziwy nerw teoryi działań umysłu, którą w tej książce podaje. Jego zdaniem hypotezę powyższą popiera nietylko analiza rzeczywistego składu myślenia, ale zarówno fakt, że nauka poznania, przyjmując ją, posuwa się po drodze rozwoju o krok naprzód. Grot widzi w niej przedewszystkiem dalszy ciąg nauki o refleksyi Lecke'a i teoryi form poznania subjektywnego — Kanta.

Według niego wreszcie, wszystkie powyższe wnioski, zarówno dodatnie jak ujemne, razem wzięte przedstawiają mocną podstawę badań dalszych, bardziej specyalnych i otwierają logice nowe sfery pytań i nowe widnokręgi faktów, dotychczas wcale niezbadane. Odpierając zarzuty trzeciego oponenta oficyalnego (prof. A. Ałandskiego) prof. Grot przyznaje, że zadaniem przyszłości dopiero będzie opracowanie logiki w kierunku wskazanym przez niego w zarysie, co zaś do obecnej pracy, to jest ona skończona o tyle tylko, o ile to było możebnem przy obecnym stanie różnych gałęzi wiedzy, stanowiących materyał tej nowej odrośli.

A. P.

Prasa peryodyczna.

Ateneum, 1883, styczeń i luty (I. II).

Dwa pierwsze tegoroczne zeszyty *Ateneum* przedstawiają się bogato.

Spotykamy w nich najprzód opowiadanie historyczne Kazimierza Jarochowskiego p. t. „Stanisław Leszczyński po Pułtawie.“ W pracy tej autor żywo i ze zwykłą sobie gruntownością kreśli dzieje pierwszej połowy życia naszego króla-filozofa, „męczennika Karolowej polityki,“ jak go nazywa, kończące się na układzie z r. 1735 i obejmujące zarazem najsmutniejszą dla kraju epokę, w której łono jego szarpały zatargi wewnętrzne, najazdy z zewnątrz, a ludność dziesiątkowała dżuma. Wyczerpawszy wszystkie fakty z tego okresu, p. Jarochowski wypowiada kilka bardzo trafnych uwag ogólnych. Wśród chaosu i poczucia materyalnej niemocy, upatruje dwa głównie znamienne tej doby czynniki: rezygnacyę i satyrę naprzemian. „Krwawa — powiada —ponura, pojawiająca się w pierwszym lepszym rękopiśmiennym zbiorze, w pierwszej lepszej *silva rerum* z owej epoki satyra, naigrawa się gorzko z pełnych ckliwego namaszczenia oświadczeń rzekomych przyjaciół Polski, chłoszcze nadużywających pokaźne godła sprzymierzeńców ich i zwolenników, poświęca skrycie łzę ironii i gniewu nędzy i zniszczeniu biednego ludu. Z drugiej strony smutna, bierna rezygnacya, paraliżująca myśl i czyn równocześnie, tam nawet, gdzieby myśl i czyn ocalić jeszcze mogły.“ Najcharakterystyczniejszym wyrazem takiej rezygnacyi jest, według autora, pierwsza królewskość Leszczyńskiego, fatalnością zaś nietylko Karola XII, ale i Polski było to, że on, człowiek czynu, wziął sobie do boku człowieka rezygnacyi, że mąż miecza uczynił wykonawcą swych zamiarów męża słowa i pióra, że nienaturalnie przykuł do tryumfalnego rydwanu swojego czciciela pokoju i przyjaciela ludzkości, który później dopiero, błogosławiąc Lotaryngii i błogosławiony przez nią, odzywa się w swym *Głosie wolnym*: „Wtenczas, ojczyzno, będziesz się mogła mieć za szczęśliwą, kiedy każdy swoje partykularne szczęście w twojem generalnem zakładać będzie.“

Powieść p. Kazimierza Glińskiego, p. t. „Czarodziejka“ dopiero rozpoczęta, ze zdaniem więc o niej wstrzymać się wypada. Już dziś wszakże zauważyć musimy, że nagromadzone w pierwszych zaraz rozdziałach uderzające nieprawdopodobieństwa, jak: dama wielkiego świata rzucająca się w objęcia nieznanego mężczyzny nieledwie w pierwszej chwili spotkania z nim i przysięgająca mu miłość dozgonną, dworak dla chimery jakiejś z największym cynizmem frymarczący honorem swojej żony, oraz chropowatości językowe w rodzaju „wysmoktał tylko *jednego cukierka*“ (55). „Boże! daj wiarę w nieznane *tamto* (238 — *Jenseits?*), *nieprzekraczalna* granica“ itp. uprzedzają czytelnika dość niekorzystnie.

Trzecim z kolei, choć co do wartości niewątpliwie pierwszorzędnego znaczenia artykułem jest studyum z historyi cywilizacyi w Polsce p. n. „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1823)“ Piotra Chmielowskiego. Z nieposplitą znajomością rzeczy i w jasnej formie autor opowiada tu dzieje żywszego ruchu umysłowego, obudzonego u nas na początku bieżącego wieku wskutek ścierania się pojęć liberalnych, przeszczepionych z Zachodu, z uprzedzeniami, ciemnotą i przesądami, z duchem reakcyi ogólno-europejskiej, której przedstawiciele zazwyczaj nazywani byli *obskurantami*. P. Chmielowski pierwotnie miał zamiar przedstawić obraz walk duchowych w tym kierunku, prowadzonych w całej Polsce, z powodu jednak pewnych trudności w wykonaniu tego zamiaru, zmuszony został ograniczyć się na rozpatrzeniu stosunków odnośnych jedynie na Litwie i Rusi.

Z treści czterech rozdziałów, wydrukowanych w dwu pierwszych zeszytach *Ateneum*, wnieść można, iż będzie jeszcze kilka dalszych ciągów.

Zasługuje też na wyróżnienie obszerna, bo jeszcze w kwietniowym zeszycie r. z. rozpoczęta rozprawa p. A. Oskierki (kwiecień, maj, lipiec 1882, styczeń, luty 1883) p. t. „Demokracya socyalna w cesarstwie niemieckiem.“ Opracowana na podstawie najnowszych źródeł i rozważana nietylko ze stanowiska teoretycznego, rzecz ta ma ważne dla nas pod względem informacyjnym znaczenie. Mówi w niej autor najprzód o początkach socyalizmu, jako kierunku polityczno-społecznego, dosyć wyczerpująco wykłada zasady Lassala i Marxa, daje rys powstania ogólnego związku robotników niemieckich, kreśli dzieje i rozwój „międzynarodówki,“ której pierwsza myśl rzuconą została we wrześniu 1864 roku i wreszcie wykazuje, jak z tych rozstrzelonych na razie usiłowań przyjaciół ludu uformowało się powoli silne stronnictwo polityczne.

Oprócz artykułów w dotychczasowym przeglądzie zaznaczonych, i inne działy pisma przedstawiają się niemniej pokaźnie.

Część sprawozdawczo-krytyczną wypełniają: gruntowny rozbiór dzieła T. Korzona „O wewnętrznych dziejach Polski za Stanisława Augusta,“ napisany przez sumiennego badacza historyi krajowej Władysława Smoleńskiego, charakterystyka i ocena utworów jednego z najwybitniejszych powieściopisarzy włoskich ostatniej epoki, Józefa Vergi, przedstawiona barwnem piórem pani Waleryi Marréné, oraz mieszczące się w każdym zeszycie pomniejsze recenzye literackie i kroniki miesięczne.

Nauki przyrodzone reprezentowane są przez artykuł Bronisława Rajchmana p. t. „Przegląd postępów fizyki ogólnej i jej zastosowań“ oraz pięknie napisaną rzecz prof. Rostafińskiego z powodu ukazania się książki De Candolle'a, p.n. „Pochodzenie roślin uprawnych.“

W końcu wspomnieć jeszcze wypada o rysie historycznym powstania i rozwoju Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu p. S. P., oraz o szkicu statystycznym p. Filipa Sulimierskiego pod tyt. „Wymowa cyfr.“

Pierwszy z tych artykułów, lubo w stylu oschłym i tonie nieco kronikarskim trzymany, dużo przecież zajmujących mieści szczegółów i bądź co bądź stanowi miłe przypomnienie instytucyi, która niezrażona trudnościami zdołała ostać się przez ćwierć wieku z górą i była pierwszem polem działalności dla uczonych takich, jak Malinowski, Józef Przyborowski, Kaz. Szulc, Ant. Mierzyński, Kazimierz Jarochowski i inni. Rozprawka znów p. Sulimierskiego godna jest zastanowienia, jako przyczynek do sporu w przedmiocie wpływu oświaty na moralność, jako próbka naukowego uzasadnienia tej prawdy, że pozorna łatwość wnioskowania z cyfr zestawionych porównawczo — prowadzi często *ad absurdum*.

Ad. J. C.

Malarstwo polskie.

Siemiradzki *Jaskinia piratów*. — Żmurko *W upojeniu*.

Gdyby czerwony afisz był szczerym, zamiast *Jaskini piratów* p. Siemiradzkiego, byłby nam obwieścił wystawę *pleców*, pleców modelki pozującej w pięknej akademickiej pozie, pleców z wysokim artystycznym smakiem modelowanych z natury, i tego, co „Objaśnienie“ do obrazu nazywa „stosami towarów, pochodzących ze złupionych statków kupieckich, gdzie są i bronzowe wazy i bóstwa egipskie, wschodnie makaty, babilońskie meble i kobierce z Pergamu.“ Tego rodzaju ogłoszenie byłoby może dziwnem, ani słowa; miałoby tę jednak wielką zaletę, że uprzedzając widza zawczasu o tem, co w obrazie jest, powstrzymałoby go od szukania wrażeń i wydawania sądu o tem, czego tam niema. Wprawdzie idąc na wystawę w Hotelu Europejskiem z góry można było być pewnym, że się tam spotka owe plecy, które p. Siemiradzki tak świetnie wyzyskał już w *Tańcu*, w *Wazonie czy kobiecie*, a nawet w *Świecznikach chrześcijaństwa*, i ową martwą naturę, owe akcesorya świata starożytnego, w które od jednego pociągnięcia pędzlem tyle życia artystycznego tchnąć zawsze umiał i umie— wprawdzie z góry można było być pewnym, że ludzie będą tam zaćmieni blaskiem złota i perłowej masy, że dramat psychologiczny zniknie w fałdach jakiejś barwnej materyi lub pod cieniem bogatego pióropusza; nikt jednak nie byłby ośmielił się przypuścić, że w *Jaskini piratów* nie dopatrzy się obrazu, cienia nawet akcyi dramatycznej, cienia duszy zbójeckiej, które mu artysta w tytule obiecywał.

Istotnie w *Piratach* nie widać owych „stosów,“ o których „Objaśnienie“ wspomina, nie widać dawniejszego, niekłamanego zapału do wszystkiego, co jest z wełny, jedwabiu, aksamitu; z drzewa malowanego, gliny, porcelany; z bronzu, żelaza zaśniedziałego, srebra zczerniałego, złota świecącego; z kamienia, porfiru, alabastru i marmuru lśniącego się blaskiem szklistym na słońcu — i to właśnie stanowi słabą stronę obrazu, który nie może iść w porównanie z poprzedniemi pracami artysty, nie może nawet nazwać się arcydziełem martwej natury, ponieważ jej tam zamało, ponieważ dla usprawiedliwienia tytułu zepchniętą została na drugi plan. Widocznie p. Siemiradzki zrobił tu ustępstwo literaturze: wyparł się bogatej malowniczości, która wyraża doskonale jego indywidualność, na rzecz biednej dramatyczności, którą nie zawsze wyrazić umie, i zamiast martwej natury, która zawsze u niego była żywą, pokazał nam żywą, która jest całkiem martwa.

Zresztą sama kompozycya obrazu pokazuje jasno, jak p. Siemiradzkiemu mało tu zależało na dramatyczności sceny. Dwie figury, a dwie dla tego, że trzeciej w cieniu tła dojrzeć niepodobna, stoją u samej góry: to naga dziewczyna, jak zwykle z głową starannie dla widza ukrytą, i dowódzca piratów w stal i jakąś twardą a barwną materyę asyryjską zakuty; dwie figury oparte o tłomoki targują się nieco niżej; dwie siedzą w łodzi na samym dole, pozując na cierpienia w więzach; potem dwie inne stoją obojętnie nieco wyżej z drugiej strony obrazu; a nareszcie dwie ostatnie udają, że znoszą towary z okrętu u samej góry. Niektóre z tych postaci, a zwłaszcza dwie: owa dziewczyna do widza plecami zwrócona i stary handlarz z siwą brodą, w profilu zarysowany, mogłyby doskonale wyrażać jakiś moment psychologiczny dramatu, gdyby scena miała choć trochę interesu, gdyby kompozycya w swych jednostajnych, symetrycznych liniach choć trochę mniej była klasyczną, akademicko-klasyczną, jak w dramatach Racine'a, gdzie figury również parami wchodzą na scenę, parami siedzą, parami rozmawiają, parami wychodzą.

Zresztą ta dziewczyna z takim wdziękiem, tak pięknemi liniami narysowana, nawet bez głowy mogłaby coś wyrażać — w każdym razie nic więcej nad to, co nagiemi plecami wyrazić można, to jest piękno nagiego ciała kobiety — gdyby p. Siemiradzki nie był odwrócił od niej uwagi widza na kobierce z Pergamu i te czerwone materye tak dalece samoistnie, dla swej pięknej czerwoności, malowane, że nawet wbrew wszelkim prawom optyki nie rzucają czerwonego refleksu ani na ciało pozującej modelki, t. j. młodej sprzedawanej dziewczyny, ani na niedaleko leżącą puszkę wysadzaną perłową masą, która przecież więcej jeszcze niż ciało ludzkie czułą jest na refleksy światła i kolorów, chociaby nie tak nawet gorących, jak czerwony.

Stary handlarz znowu, pomimo swego spokoju konwencyonalnego, swojej niewzruszoności klasycznej, mógłby wybornie służyć za pożytecznego komparsa w dramacie, gdyby widz, patrząc na jego ostry profil i twardą brodę, nie musiał ciągle zadawać sobie pytania, gdzie on ma nogi? Ba na czem on stoi? „Objaśnienie“ mówi, że „stary z brodą stoi w łodzi na pierwszym planie.“ Ależ w „łodzi naładowanej towarem nabytym,“ a towar — to niewolnica egipska i europejczyk, nie ma tyle nawet miejsca, ile go na pomieszczenie dwojga ludzi potrzeba. Widocznie więc stoi za łodzią. Jeżeli tak jest, to łódź chybaby na ziemi leżała, ponieważ stopy „starego z brodą“ w przedłużeniu przypuszczalnem są na tym samym poziomie, co dno łodzi, i wtenczas pomiędzy wodą, którą widać na pierwszym planie, a pakami towarów, o które się opiera „pomocnik bandyty, nęcący chciwość przekupnia,“ nie byłoby jednego atomu powietrza. Najlepiej zatem przypuścić, że handlarz aż po biodra świetnie rysowany nie ma nóg wcale i tym sposobem uwolniwszy obraz z pod ciężkiego zarzutu perspektywy fałszywej, na nowo dociekać, co się dzieje w duszy tego człowieka, który widzi, nie patrząc, lub też patrzy, nie widząc. Właściwie mówiąc, stary handlarz — to stary model, model wytrawny, model nieoszacowany dla malarzów, model, który udrapowawszy się raz w jakąś płachtę starożytną, umie spokojnie, nieruchomo, jak figura gipsowa, przestać godziny całe we wszelkich pozycyach, możliwych i niemożliwych, nawet w powietrzu, nawet bez nóg — model zresztą, który pozując do sceny dramatycznej z młodą modelką, jest w stanie grać w *mora* na pace z sąsiadem jedną ręką a drugą bawić się kręceniem białej tasiemki, jak mu się to przy pozowaniu do ostatniego obrazu p. Siemiradzkiego z wielką szkodą dla utworu zdarzyło.

Inne figury, nie wyłączając nawet „przywódcy zbójców,“ który skamieniał w swym uśmiechu głupowatym, są rysowane tylko w liniach ogólnych, tak jak w akademiach rysuje się z gipsu na medal. Stąd pewna sztywność, która od pierwszego zaraz rzutu oka razi i nieprzyjemnie usposabia.

A przytem, przez jakiś dziwny przypadek, bo chyba nie naumyślnie, większość figur chyli się cokolwiek na prawą stronę, wskutek czego cały obraz zdaje się przewracać na prawo i w tem fałszywem złudzeniu więcej jeszcze niepokoi oko i tak już zaniepokojone ruchem tych dwu majtków, czy też piratów u góry obrazu, z których jeden niezręcznie ugina się pod rzekomym ciężarem czterech kłów słoniowych, jakie niesie, a drugi zdaje się podpierać górę z obawy, ażeby się nie zerwała pod tamtym.

Wogóle p. Siemiradzki ruchu nie czuje, i nawet, co mu w tym razie za zaletę poczytać należy, unika go, o ile może, o ile go chęć malowania dramatu do tego nie zmusi. Wszędzie, nawet w *Tańcu z mieczami*, kobieta nie tańczy, tylko w przecudnych liniach pozuje, zaledwie cokolwiek odchylając się od pionu ciała w spokoju. Łatwo to zresztą zrozumieć z dwu względów: raz, że p. Siemiradzki wychował się na antykach i tak duszę swą do nich dostroił, że je żywcem na płótno przenosi; powtóre, że ruchu kopiować nie można z modelu. Zresztą w jego obrazie brak zagłębienia, brak powietrza, w którymby ludzie swobodnie poruszać się mogli: ledwie starczy mu miejsca na plamy cieliste, wlepione pomiędzy dwie draperye i to plamy malowane w tych samych wartościach koloru, co i plamy materyi, wskutek czego wszystko jednocześnie, z jednakowem natężeniem wyrywa się z obrazu i spędza zeń powietrze, jakieby tam być mogło, gdyby artysta wszystko malował z natury. Bo nie zapominajmy, że p. Siem. to tylko maluje z natury, co nie jest naturą we właściwem znaczeniu tego słowa, to tylko, co do pracowni razem z modelem sprowadzić można; że zaś powietrza do pracowni sprowadzić, ani go też na kołku lub manekinie zawiesić nie można, więc też i w *Piratach* go nie ma, choć scena odbywać się ma na otwartem powietrzu, jak tego nie z oświetlenia wprawdzie, ale z gór niebieskawo-błękitnawych w głębi obrazu domyśleć się łatwo. Gdyby więc na tem tle płaskiem, wskutek niedostatecznego pogłębiania obrazu, figury zaczęły się ruszać, odchylać od pionu w tę i w drugą stronę, widz zarazby mniemał, że się przewracają, że razem z obrazem padają na ziemię. Dla uniknięcia więc gwałtu w liniach, p. Siem. w ostatnim swoim obrazie kazał i piratom i majtkom i wioślarzom i niewolnikom pozować. Wszyscy oni, z wyjątkiem dziewczyny wystawionej na sprzedaż, dziewczyny zanadto trochę, co prawda, przypominającej układ i kolor ciała z obrazu *Jo* Corregia, są manekinami, na których malarz rozwiesił draperye, są rodzajem jakichś *porte-manteaux*, jakby powiedział francuz, wskutek czego w obrazie, pomimo całego wysiłku artysty o związanie jedenastu figur w jedną całość, nie ma sceny, nie ma dramatu, nie ma obrazu. Co linie związały, to pojedyncze plamy rozproszyły, i tym sposobem p. Siemiradzkiemu zdarzyło się, co zawsze zdarza się artystom, którzy sądzą, że malując wnętrza

swoich pracowni, zdołają namalować *Jaskinię*, że patrząc na modele i modelki, pozujące w szatach starożytnego kroju, zdołają odtworzyć chwilę „z dziejów *piratów* świata starożytnego,“ której własnemi oczami nigdy nie widzieli.

Szczęściem, że p. Siemiradzki nietylko *Jaskinię piratów* ma w swojej przeszłości, i że nietylko z wrażenia odebranego od jednego obrazu wypadnie mi o nim mówić na tem miejscu.

„Kiedy jednak — jak mówi Taine — wrażenia się nastręczają, obowiązkiem sprawozdawcy jest je zanotować.“ Dlaczegóż więc przy tej samej, może nawet niewłaściwej, sposobności nie miałbym zanotować innych jeszcze, z innego obrazu, innego artysty?

Obraz to ani duży, ani mały, rysunek ogólny pobieżny, pospolity w sylwetkach, a twardy w szczegółach; ton, pomimo pstrocizny pojedynczych plamek, blady, szary, niepewny, jak zwykle w obrazach poczętych bez zapału do koloru; ciało płaskie, słabo modelowane, jak we wszystkich utworach fantazyjnych, w których natura sama jest fantazyą, wymysłem malarza; niebo bez powietrza, o tyle tylko różne od parawanu z papieru niebieskiego, o ile na niem widać gdzieś z boku białą, matową plamę księżyca bez blasku; kolory miejscowe, jak w elementarzach chromolitografowanych, niemodyfikujące jedne drugich, niełączące się, niezlewające w jedną harmonijną całość; materye wełniane tak twardo rysowane i tak przejrzyście malowane, że miąższości w nich dopatrzeć się niepodobna; perły blade, martwe, nieprzezroczyste, złoto bez połysku, z papieru, z bibuły malowanej na żółto; twarze nietypowe, bez wyrazu, bez charakteru, jak we wzorach do rysunków; oczy suche, szklanne, niepatrzące, niewidzące, beznamiętne; światło sztuczne, pracowniane, tak nielogiczne, że w niem pomimo nocy — a musi to być noc, ponieważ księżyc udaje tam, że świeci —widać. jak w biały dzień, wszystko... z wyjątkiem upojenia miłosnego, o które, jak z tytułu wnosićby należało, najwięcej malarzowi chodziło.

Ponieważ jednak tyle tylko wrażeń odebrałem i tyle tylko zanotować ich byłem w stanie przez tę krótką chwilę, kiedy szczęśliwy nabywca zdejmował ze ściany wystawy w Hotelu Europejskim obraz p. Żmurki: *W upojeniu*, przeto z charakterystyką talentu artysty wstrzymać się muszę do czasu, kiedy jego płótnom będę mógł się przypatrzeć dłużej, uważniej, ze wszystkich stron i dorozumieć się, w czem tkwi jego indywidualność artystyczna, jeżeli ma jakąkolwiek, choćby najmniejszą.

Antoni Sygietyński.

NOWE PRZEKŁADY
STARYCH POEMATÓW.
PIEŚNI HOMERYCZNE I NIBELUNGI.

II.

Mając tedy przygotowaną skalę wymagań, przechodzę do szczegółowego rozpatrzenia i osądzenia według niej najnowszych przekładów.

Zdaje mi się, iż najstosowniejszą drogą będzie przyłożenie drobnowidza krytycznego do okazów; ogólniki bowiem nie na wiele tu się przydadzą. Całość składa się z milionowych atomów; aby o niej wytworzyć sąd mniej więcej słuszny, należy przez mikroskop przyjrzeć się cząsteczkom i lepiej operacyę tę odbyć na drobnym ułomku, niż formułować wyroki ryczałtowe; co się dopatrzy na atomach, to stosować się będzie i do całości.

Rozpoczynam więc od Iliady i biorę na chybił trafił początek pieśni piątej. Oto możliwie wierna kopia oryginału greckiego:

Wtedy więc Tydeidesowi Diomedowi Pallas Atena
Dała siłę i męztwo, aby znakomitym między wszyst-[kimi
Argejczykami stał się i sławę dzielną zdobył.
Zapaliła mu z hełmu i tarczy nieustający ogień,
Gwiaździe jesiennej podobny, gdy ta najbardziej
Błyszcząca świeci, skąpana w oceanie.
Taki mu ogień zapaliła od głowy i ramion
I pchnęła w środek, gdzie się najwięcej ludzi tło-[czyło.
Był zaś pewien u Trojan Dareś, zamożny, nieposzla-[kowany,
Kapłan Hefesta; dwóch jego synów było,
Fegeus i Ideus, walki dobrze świadomi wszelakiej.
Ci dwaj, oddzieliwszy się, przeciw niemu się rzucili.
Oni z wozów, on zaś z ziemi walczył pieszo.

Pan Popiel tak ten ustęp tłomaczy:

Syna Tydeja Diomeda, natenczas Pallas Athene
Duchem i siłą natchnęła, by jaśniał pomiędzy wszyst-[kiemi
Argejami, a ztąd mu sława szlachetna urosła.
Z jego szyszaka i tarczy promienił ogień nie zgasły,
Blaskiem do gwiazdy z południa podobny, która naj-[bardziej
Świeci jasnością gdy z fali się Oceanu podnosi.
Takoż od głowy i ramion strzelała mu jasność [dokoła;
Ruszył się raźnie do środka gdzie ciżba walczących [największa.
Między Trojany się Dares, bogaty i zacny znaj-[dywał,
Kapłan Hefaistosa, co miał przy sobie dwóch sy-[nów
Idajosa i Fega do każdej walki sposobnych.
Oni z osobna od innych naprzeciw niemu ruszyli.
Stojąc na wozach, lecz on im pieszo czoło postawił.

Naprzód co do wierności przekładu. *Natchnęła... duchem* niema w oryginale; są to pojęcia stosunkowo późniejsze, obce pieśniom homerycznym; one mówią po prostu: *dała... męztwo*. O *jaśnieniu* niema też tu mowy; oryginał powiada tylko „aby stał się,“ lub „został.“ „Ztąd mu sława... urosła“—wygląda, jakby ta sława już była oddawna przymiotem Diomeda; autor zaś grecki mówi o przyszłości: *aby* (skutkiem tego daru siły i męstwa) sławnym *został*. Tłomacz dalej powiada, że *ogień promienił*, *jasność strzelała*, a D. *ruszył się;* tymczasem tekst grecki wszystkie te czynności przypisuje Atenie: *zapaliła*, powiada i *pchnęła*: to zmienia znacznie postać rzeczy; oryginał ją plastyczniej, bezpośredniej przedstawia. Co ma znaczyć w przekładzie *gwiazda z południa*, nie wiem i nie pojmuję powodu odstąpienia tu od oryginału. Plastyczniejszą też jest *kąpiel* tekstu od *podnoszenia się z fali Oceanu*. *Raźnie* w tekście niema.

Nie ulega wątpliwości, że p. Popiel doskonale umie po grecku i że tekst homeryczny dokładnie rozumie. To też wytknięte powyżej drobne zboczenia wynikają nie z niepojmowania oryginału, ale, zdaje mi się, z niedostatecznego oceniania potrzeby *bezwarunkowej wierności* przekładu i z chęci uczynienia tego przekładu *poetyczniejszym*. Co do pierwszego, nie wymagamy dosłowności, bo ta byłaby i niemożebną i niedorzeczną, ale pragnęlibyśmy nieodstępowania od znamiennych, zasadniczych wyrazów i wyrażeń autora, a także niedodawania niczego. Co do drugiego, pomyślmy, czy nie jest płonnem kuszenie się o uczynienie Homera poetyczniejszym? Chcielibyśmy być prawowierniejszymi od papieża? Czy ta szczytna prostota, która właśnie główny czar i wdzięk pieśni homerycznych stanowi, która sama przez się jest najwyższą poezyą, zyska cokolwiek jeżeli zamiast dziecinnie naiwnego, biblijnie pierwotnego wyrażenia, że „Atena dała komuś siłę i męstwo,“ powiemy, iż „natchnęła go duchem i siłą?“ Wprawdzie i Voss tak to tłomaczy, jak p. Popiel; ale tenże Voss nie posuwa się dalej i nie każe szyszakowi *jaśnieć*, a Diomedowi *iść*, kiedy grek powiada, iż Atena *zapaliła jasność* i Diomeda *popchnęła*; zresztą, przyznając tłomaczeniu Vossa ogromne zalety, nie skrywajmy przed sobą, że i on czasem modernizował Homera.

A teraz co do polszczyzny, pisowni i wierszowania. *Takoż* jest prowincyonalizmem. Między *Trojany* jest archaizmem. *Znajdywał się* jest prowincyonalizmem; *się* oddzielone w sposób bardzo niemiły aż czterema wyrazami od *znajdywał*, taksamo jak w wierszu 6 z *fali się*, szczególnie w metrze —◡◡—, robi bardzo niepomyślne wrażenie, jak gdyby to był czasownik na kształt *chwali się*, *smali się*. *Co* miał, zamiast *który* miał (w oryginale powiedziano po prostu „dwóch jego synów było“) nieładnie wygląda. Wiersz 12 rozwlekły, parafrazowany. Przecinkowanie, jak w całym przekładzie, tak i w powyższych trzynastu wierszach, wielce zaniedbane. Upominamy się o sławioną ścisłość filologiczną, która ma być równa matematycznej! Brakuje przecinków: wiersz 1 po *Tydeja*, w. 3 po *Argejami*, w. 6 po *jasnością*, w. 8 po *środka*, w. 11 po *Fega*, w. 12 po *ruszyli*; niepotrzebnymi zaś są przecinki: w. 1 po *Diomeda*, w. 9 po *Dares*. A więc ośm niedokładności w trzynastu wierszach; to trochę za wiele. W pisowni: w wierszu 1 *Diomed* jest wyrazem dwuzgłoskowym w przekładzie p. Popiela. Nie mam nic przeciwko temu; ale gdy w w. 114 tej pieśni czytamy *Diomed* jako wyraz trzyzgłoskowy, to zapytujemy, dlaczego tłomacz w obu razach pisze *i* jednostajnie? Czy wolno od czytelnika wymagać takiej przenikliwości, a od pisowni takiej elastyczności, ażeby ten sam znak wymawiał się raz jak *j*, a drugi raz jak *y*, albo *i*? Zapewne, winna temu nieustalona pisownia nasza. Mojem zdaniem, w zawikłanej sprawie joty, głównym ratunkiem byłoby używanie jej tam, gdzie zwykle *i*, *yj*, *ij* piszemy (wołałbym np. *racja* niż *racia*, *racyja*, *racija*). Więc w wierszu 1 należałoby napisać *Djomeda* (lub też chociażby *Dyomeda*), a w 114 *Diomed* (albo, jeżeli w w. 1 Diomeda, to w w. 114 *Dyjomed*, lub *Dijomed*), ażeby graficznie odróżnić wagę brzmienia, które innem jest w jednym, a innem w drugim razie. Niekonsekwencya taka spotyka się wciąż i razi bardzo. Np. wiersz 43: „Faista Idomen atoli, potomka Bora z Meonii;“ tu, dla miary, trzeba czytać: *Fajsta* i *Meonji*; a *Diosa* (wiersz 34) należy czytać trzyzgłoskowo itd. *Athene* i inne wyrazy z tetą pan P. pisze przez *th*, wbrew odwiecznemu zwyczajowi naszemu. Jeżeli *th*, to dlaczegoż nie *ph* w *Hefaistosa*, *Fega* itd? Pisze też p. P. *Lykii*, *Fylejdes*, *Aeneasz* itp. wbrew zwyczajowi polskiemu. Wiersz 4 *nie zgasły* powinno się pisać łącznie, jak *nieśmiertelny*, *niegrzeczny* itp.

W oddawaniu imion własnych greckich wielkie u nas wogóle panuje zamieszanie. Pan P. nie trzyma się stałej zasady i przekształca te imiona jak mu do miary dogodniej: raz *Idomen*, drugi raz *Idomeneja*, *Merion* i *Merionéj* (zabawne jest tu pochylenie *e*); *Atrejdes*, ale *Tydejda*, 2-i przypadek *Tydejdy*, a 4-ty w wierszu 207 *Tydejdę*, a w wierszu 60 *Armenidy*, zamiast, według analogii, *Armenidę*. W wierszu 31 czytamy: *Ares*, *Aresie!* Dwie różne formy piątego przypadku, obok siebie stojące, z których pierwsza zgoła niemożebna u nas, Wiele zrzucić trzeba na brak stałej zasady u nas; ale bądź co bądź, są pewne tradycye, któreby uszanować należało. Tradycye te sformułowaćby można przez zestawienie imion greckich, najbardziej znanych i używanych, jak Likurg, Solon, Platon. Arystofanes, Eurypides, Sofokles, Ksenofon, Tucydydes, Safo, Ateny, Sparta; Efez, Mantynea, Aleksander, Troja itd. itd.; z deklinacyi ich, u nas używanej, wysnućby należało pewne szematy i do nich się stosować. Przywykliśmy do form łacińsko-greckich, jak *Hefest*, *Atrydes*, *Ocean*

itp. U pana P. czytamy raz *Oceanu* (w. 6), a gdzieindziej *Hefaistos*, *Atrejdes*. Przywykliśmy do *Zeusa*; po cóż więc nam *Diosa*, i to tuż obok, w następnym wierszu (23, 34)? Taka pstrocizna form i niejednostajność spolszczania ich mocno razi w przekładzie Iliady. Niechby była jakakolwiek zasada, ale jedna i panująca.

Co się tyczy wyboru formy wiersza, to z przyjemnością widzę, iż padł on u pana Popiela na heksametr. Jedyna to, zdaniem mojem, droga dla tłomaczów pieśni homerycznych. Język nasz nadaje się do wierszy miarowych, dziś już o tem trudno wątpić. Niech czytelnik poznać zechce, co o tem pisze p. Ćwikliński w rozdziale 8-ym swojej rozprawy o Homerze i Homerykach (Lwów, 1881). Znajdzie tam za i przeciw wierszom miarowym u nas, sprowadzające się w końcu do wątpliwości o powodzeniu poezyi metrycznej w Polsce. Nie podzielam tych przewidywań pana C.; owszem, przychylam się do przeciwnego zdania panów Jenikiego, Popiela i wielu innych i powtarzam ze skromnym tłomaczem Iliady (str. XII): „niechaj się u nas prawdziwy mistrz do heksametru weźmie, a mogą być jak ulane.“ Ale sam p. Popiel przekładem swoim o tem przekonywa: pomijając mniej szczęśliwe, jest tam bardzo wiele prawdziwie gładkich i pięknych wierszy. Dodać tylko pozwalam sobie pewne zastrzeżenie.

Mówiąc o wierszach miarowych polskich, powołujemy się zwykle na wzory i prawidła starożytne. Powiadamy np. o znanym ustępie z Konrada Wallenroda: „Skąd Litwini wracali...“, żeładnie brzmi, ale szkoda, że nie jest prawdziwym, czystym heksametrem. Jakim? Oczywiście greckim. Alež dla czegož metryka grecka ma być dla naszego języka obowiązującą? Inne on posiada warunki, inną też winien mieć metrykę. Skąd ją wysnuć? Ze wzorów już istniejących, a przedewszystkiem z najlepszych, a więc z przytoczonego np. ustępu Mickiewicza. Wszakże poetyka i metryka ustalają się na wzorach i ze wzorów; wszak każdy naród i język ma swoją. Po cóż niewolnicze naśladowanie greków? Miejmy swoją metrykę, nie identyczną z grecką, ale zmodyfikowaną wedle wymagań naszej mowy. Oprócz Mickiewicza, wielu poetów z powodzeniem próbowało sił swoich w wierszach bezrymowych a miarowych: otóż z prób tych wyprowadźmy zasadę i niech one dalszym usiłowaniom posłużą za podstawę i wskazówkę. Wszak niemcy w ciągu ostatniego wieku stworzyli i ślicznie wykształcili wiersz miarowy: nie widzę przeszkody, abyśmy i my nie mogli tego nowego skrzydła przypiąć pegazowi naszemu. Zdaje mi się, że ci, który utrzymują, iż język nasz nie podaje się do miarowości, najlepiej się przekonają, że są w błędzie, zastanawiając się nad udatnością prób dawniejszych i obecnego przekładu Iliady p. Popiela.

Pozostaje jedna jeszcze sprawa, stanowiąca szkopuł dla tłomaczów pieśni homerycznych, mianowicie dobre oddanie i konsekwentne używanie tak zwanych „epitetów stałych, zdobiących.“ Zdaje mi się, że trzeba wielkiej ostrożności w dobieraniu odpowiednich polskich, bo język nasz, chociaż ma dużo utartych wyrazów złożonych, niechętnie jednak nagina się do tworzenia takich nowych. Słownik Lindego niemały zasób poetycznych takich przymiotników posiada, trzeba tylko delikatnego smaku i poczucia lingwistycznego w ich wyborze; a przy tworzeniu nowych, oprócz tego, należy pilnować się analogii już istniejących wyrazów; tak np. jeżeli posiadamy utarte wyrazy *ojcobójca*, *samobójca*, *mężobójca* itd., to i *Argobójca* (Siemieńskiego) razić nas nie będzie; gdy na wzór słowa *miodopłynny* utworzymy *złotopłynny*, również nie urazimy smaku. Ale kogoż zadowolić mogą takie wyrazy, jak np. Siemieńskiego: *grzmigłos* Menelaj (przypomina pospolitą nazwę psa *Grzmiłasa*), albo *lądotrzęs*, *lądowstrzęsacz*, *ziemiotrzęsca*, *czarnogrzywy* (o Zeusie!), *modrowodziobny* (okręt), *ziemioburca*, *białokływa* (trzoda), *biesiadopłoch* (przypomina sie *czartopłoch*), *skotopas* i tyle innych niesmacznych, trywialnych, dziwacznych? Pan Popiel szczęśliwszym jest od Siemieńskiego w urabianiu wyrazów złożonych; ale zbyt często pozwala sobie odstępować od oryginału i epitety pojedyncze opuszcza, lub omawia kilkoma, np. wiersz 31 pieśni 5, który w oryginale trzy epitety Aresa wymienia („Aresie, Aresie, mężobójco, morderco, murołomco“), tłomaczy: „Ares, Aresie, morderco zbroczony, co mury wywracasz.“ *Eribolax*, wiersz 44, przekłada przez „o skibie szerokiej,“ *iochéaira*, w. 53, przez „ciesząca się łukiem“ itd. Otóż zdaje się mnie, iż takie omówienia są tu niewłaściwemi, bo zacierają barwę oryginału. Trzeba się łamać z trudnościami, wynaleść chociażby niezłożony przymiotnik lub rzeczownik, ale trzema, lub czterema wyrazami nie wypada zastępować pojedynczych greckich. Prócz tego myślę, iż nigdy nie należy odstępować od piorwowzoru, gdy ten używa imienia właśnego i nie zamieniać go omówieniem, ani też odwrotnie, bo i to przeistacza ton oryginału. A przedewszystkiem trzymać się raz przetłomaczonego epitetu, lub wyrazu charakterystycznego, tym wszędzie i zawsze oddawać odpowiedni grecki, bo tylko tym sposobem utrzymuje się ciągłość i jedność zabarwienia.

Nie mogę i nie zamierzam podać tu spisu wyrazów i wyrażeń, które p, Popiel albo idąc torem Siemieńskiego, albo sam niewłaściwie z szeregu przedawnionych, nieodpowiednich lub prowincyonalnych zaczerpnął. Niech kilkanaście wystarczy, aby myśl moją wyjaśnić. Wiersz 19: „zrucił z powózki;“ w. 24 „ze wszystkiém stary;“ w. 26 „druhom;“ w. 34 „cofnąć się w tył;“ w. 37 „każden;“ w. 38 „pierw;“ w. 42 zbroja „zabrzękła;“ w. 44 „któren;“ w. 62 okręty „wycinał;“ w. 70 „nothos“ zbyt grubym wyrazem przetłomaczono: po grecku łagodniejszy tu jest odcień. który Voss oddaje przez „unehelich;“ w. 74 żelazo „przeszło zębami;“ w. 75 wyraz „mroźne“ za silny, oryginał powiada tylko „zimne;“ w. 81 „szabla“ dziwnie w pieśni homeryczney wygląda itd.

Tyle drobiazgów znalazło się w stu pierwszych wierszach pieśni piątej; pominąłem pewne niegładkości, rozwlekłości i interpunkcyę. Drobiazgi to są, prawda, ale z drobiazgów składa się całość, a Goethe powiada, że kunszt zasadza się na poznaniu i nauczeniu się sposobów i sposobików technicznych, bez których największy, najpoetyczniejszy duch nie potrafi znaleść odpowiedniego wyrażenia siebie.

Widzimy Iliadę w tłomaczeniu p. Popiela już powtórnie wydaną. Objaw to pocieszający, bo świadczy o pomyślnej zmianie w smaku ogółu. Oby to powodzenie zachęciło szanownego tłomacza do przejrzenia i przerobienia przekładu. Mam przekonanie, iż po ponownem wycieniowaniu, stanie się on prawdziwą ozdobą literatury naszej, bo i dzisiaj, w takim kształcie jak go czytamy, jest niezawodnie dobrym, wiernym i wcale gładko się czytającym, a bliskim tego ideału. o którym mówiliśmy, przytaczając Goethego; lecz może być jeszcze bliższym, jeżeli tłomacz zechce.

Powyższe uwagi moje niech służą za dowód, jak wysoce cenię to, czego już p. Popiel dokonał, i jak wiele się spodziewamy od niego w przyszłości, jeżeli wrócić zechce raz jeszcze z miłością i wiarą do pięknej swej pracy.

(D. n.)

Jan Karłowicz.

LIBERUM VETO.

W obronie rabina krakowskiego. — Logiczny konserwatysta. — Przykład dla naszych. — Odgłosy sławy p. Rembertowskiego. — Gdyby nie był naszym znanym. — Mądrość po szkodzie Towarzystwa wioślarskiego. — Rozmyślania nad sercem niewieściem. — Oszczędność na reformie pasportowej. — Leczenie nadmiernego ruchu. — Wybuch Etny w *N. Wremieni*. — I t. d. — Wzorowe sprawowanie się. — Czego mnie nauczył Terlecki.

Tego rozumiem — i bardzo żałuję, że umarł. Nazywał się konserwatystą żydowskim i wyklął wszystkich, którzy z Talmudu chcieli robić fidibusy do zapalania postępowych fajek. Zaiste rabin krakowski, który nie zszedł, ale uciekł ze świata, zanim prokuratorya zdążyła zrobić mu sądową nieprzyjemność za naruszenie spokoju publicznego, był człowiekiem daleko logiczniejszym, niż nasi konserwatyści, którzy głosząc, że tylko w religii zbawienie narodu, gwałcą: posty i święta, a zachowują tylko najniezbędniejsze przykazania. Wyznam szczerze, iż między innymi powodami do mojej niechęci dla konserwatyzmu tkwi i ten, że jest to płaszcz za obszerny; zmieście się bowiem w nim nieraz musi i kilka żon, i kilkoro nieprawych dzieci, i masa niewypłaconych długów, i pycha, łakomstwo, nieczystość, obżarstwo.. Gwałtu, jakiej to potrzeba szaty, żeby to wszystko okryła! Dodać jeszcze winienem, że gdybym nawet mógł takiemu ciężarowi podołać, to nie umiałbym nigdy ściśle oznaczyć granicy, gdzie się kończy zachowawczość a gdzie zaczyna postęp — przepraszam — „anarchia.“ I tak w chwili, gdy zdaje mi się, że powinienem znienawidzieć wiek nasz za jego „materyalizm,“ muszę chwalić telefony. Jakim sposobem? Albo wynalazki są dziełem dyabła i winny być potępione, albo postęp — to rozumny ruch. Otóż rabin Schreiber, na którego Galicya tak się zagniewała, że jego pogromca p. Fryling ma na kilka tygodni zapewnioną sławę (patrz „telegramy własne“), wyklinając swych liberalnych współwierców, zrobił krok bardzo logiczny. Bo jakże miał postąpić? Powiedzieć: Stary Zakon — to tylko ładna bajka, a Talmud—to podręcznik do okpiwania chrześcian 365 razy na rok? P. Fryling, jak pchła w bajce Mickiewicza, rzuca nieboszczykowi zabójcze pytanie: „a czem żyje rabi?“ Niewątpliwie rabi krakowski żył z ciemnoty swych współwyznawców, ale czyż on był gorszym od naszych rabinów, którzy z tego samego pieca swój chleb wyciągają? Nadewszystko zaś czy był gorszym od tych żydów, którzy w ogniu przesądów cudzej religii kują swój interes? On naprzód wierzył, a powtóre żyć potrzebował. Gdyby został komisarzem włościańskim, pielęgnowałby serwituty; ponieważ zaś Opatrzność powołała go do odegrania roli rabina, więc strzelał do wilków. uprowadzających mu owce z trzody. Był to mąż w stylu starozakonnego De Maistre'a i Bonalda, jeżeli więc *Tygodnik Ilustrowany* nie złoży na jego grobie wieńca, zwątpię zupełnie o stałości gustów tej czułej ambony. Naszym zaś zachowawcom radzę go naśladować w konsekwencyi, tj. bronić wszelkich Talmudów bez wstydu, grzmieć przeciwko swobodnym myślom w każdej postaci a nie zasłaniać konserwatywnego sumienia wachlarzem „umiarkowanego“ lub „zdrowego“ postępu, który u Stępkowskiego i Boqueta nie jest nigdy umiarkowanym a po opuszczeniu ich nigdy nie bywa zdrowym.

Szkoda, że tej szczęśliwej rady nie usłyszy już „jeden z naszych zacnych ekonomistów“ p. J. N. Rembertowski, który, okrywszy się owym szerokim płaszczem, ukradł 100,000 rs. i jakąś niewiastę; zmyka on potem teraz zapewne z obu łupa-

mi, ażeby osiąść jak najdalej od „ukochanego narodu.“ Był to mąż nieposzlakowanego charakteru tak dalece, że już po owej kradzieży *Słowo* wystawiło mu zaszczytne świadectwo, naturalnie z datą wcześniejszą. Postępowców nie cierpiał, widział w nich również „morowe powietrze,“ jak mógł i gdzie mógł na *Prawdę* wymyślał, wytrwale przepowiadał, że darwinizm, demokratyzm i tym podobne zarazy sprowadzą kiedyś na społeczeństwo nasze straszną klęskę. A na dowodzenie tego opuścił rodzinę i ukradł 100.000 rs., z których znaczną część, jako buchalterowi Banku Polskiego powierzyły mu osoby prywatne. Jeszcze dziś drżę na myśl, coby powiedziano przed trzema tygodniami, gdyby ktoś odważył się zachwiać moralny kredyt tego „znanego ekonomisty.“ A już doprawdy nie wiem, jaki by to odbył się taniec w pewnej części prasy, gdyby nasz Rykow wyznawał zasady liberalne a tem bardziej bodaj przelotnie zaczepił się o pismo postępowe... No, no! Na szczęście nie. P. J. N. Rembertowski wzbogacał tylko organy konserwatywne, uleciał więc z najczystszą wonią prawomyślności. Bezbożnik Renan powiedział: „w moralności, jak w sztuce, nic nie znaczy mówić, lecz wszystko — czynić.“ A ponieważ, jak twierdził J. Paul: „jeszcze łatwiej oszukać sumienie, niż kobietę,“ więc nasz bohater ani się spostrzegł, jak spłaciwszy moralności dług słowami, bez trudu okpił sumienie i kobietę. Nie sprawia mi on jednak żadnej *Schadenfreude*. Przeciwnie, pobłogosławiłbym tę cegłę, któraby przed kilku tygodniami na niego spadła i rozbiła niegodziwy czerep, pod którym lęgła się zbrodnia. Niech mu z każdego kawałka chleba kolka wylezie i w podniebienie się wbije za to, że nam plugawiec tak zabrzydził życie swym brudem. Potrzebaż jeszcze tego, ażeby ludzie szanowani, zajmujący wydatne stanowiska, przewodniczący ogółowi w literaturze dopuszczali się zwykłych złodziejstw. Że tacy świadomi swego występku łotry nie mają litości nad własnem imieniem, pojmuję; ale że nie mają miłosierdzia nad rodziną, którą hańbią, i narodem, którego godność szargają, to doprawdy zrozumieć trudno. Ach, panie Rembertowski, panie Rembertowski, dla czego biedacy, jadący na Cymbryi, potonęli, a ty sobie szczęśliwie w tej chwili może przepływasz Atlantyk!

Zacny ten „ekonomista,“ który opróżnił kilka prywatnych kieszeni, zrabował także i kasę Towarzystwa wioślarskiego — młodej, bardzo pomyślnie rozwijającej się instytucyi. Przypominam sobie, że na ostatniem zebraniu jej członków czyjeś bystre oko dostrzegło złe znaki w zarządzie funduszami, ale iskrę zdrowego rozsądku zalał natychmiast zwykły u nas deszcz wyrzutów, umywający patentowane ręce z wszelkiej skazy. A może wówczas, gdyby nie stłumiono krytycznego głosu, złapanoby lisa, zaczajonego pod kurnikiem.

Ale, stało się. Jeżeli o czem rozmyślać możemy, to chyba tylko o szczególnym rodzaju miłości dla złodzieja. Pisma donoszą, że los Rembertowskiego dzielić będzie jakaś „panna, córka obywatela.“ Nie mogę sobie wyobrazić serca tej kobiety, jeśli ono jej przed ucieczką nie zgniło. Kochać człowieka, którego nietylko ściga policya, ale za którym pędzi zgroza całego ogółu, którego hańba biegnie na wszystkie strony po drutach telegraficznych, którego twarz pokutuje w albumach śledczych, który codziennie zmianą każdego skradzionego banknota na drobną monetę rozmnaża swój występek i żyć z niego musi — na to trzeba być tylko — samicą. Brr!

A jaki oszczędny szpak! Pośpieszył się z ucieczką i nie czekał podwyższenia opłaty za paszporty zagraniczne, którą przepowiadają gazety rosyjskie. Zarobił na tem stokilkadziesiąt rubli, gdyż o tyle ma ona być zwiększona. Pomysł ten nie wydaje mi się zresztą wykonalnym. Nie biorąc w rachubę złodziejów, włóczęgów i wszelkiego rodzaju przelotnych ptaków, względem których taki haracz byłby sprawiedliwym, zaznaczyć należy, że zewnętrzne potrzeby państwa ucierpiałyby na nim znacznie. Dziś nie ten czas, który był przed pół wiekiem. Przemysł, handel, stosunki naukowe i artystyczne — wszystko splątało się bardziej z życiem zagranicznem.

Chociaż i u nas powrót do dawnych dobrych czasów zalecanym bywa jak środek kuracyjny dla społeczeństwa, zawsze jego recepty przypominają mi porównanie Börnego: „Wystawmy sobie — mówi on — że lekarz zakazuje choremu wszelkiego dłuższego ruchu, gdyż byłby on dla niego zabójczym. Ale chory nie słucha i idzie na spacer milę drogi. Otóż co powiemy o lekarzu, który dla naprawienia złego, każe choremu tę samą drogę nazad przebyć? Podobnie...“ itd.

Bez obrazy sprawiedliwości nie mogę zamilczeć, że *Nowoje Wremia*—które niedługo dojdzie do wniosku, że kula ziemska dlatego jest spłaszczona, bo kiedyś usiedli na biegunach jej dwaj polacy i tak ją niemiłosiernie przycisnęli—nie lubi najlżejszego powrotu w pewnym kierunku i woli niezmordowane skoki naprzód. Teraz właśnie artykułem „jednego z członków litewskiego stowarzyszenia literackiego w Tylży“ otworzyło ono współcześnie z Etną nowy krater, który długo buchać będzie lawą skarg na ucisk litwinów przez polaków — naturalnie w przeszłości. Kilka próbek przytaczam za *Nowinami*. Polonizacya, według autora listu, „zdusiła i zabiła wszystko, co było litewskiem — osławiona polska kultura była dla Litwy prawdziwą klęską“ itd. Dlaczego nie nawlokę dalej tych pereł, lecz zakończam nić węzełkiem: „i t. d.“ Dlatego, że czytelnicy moi umieją już na pamięć cały pacierz *N. Wremieni*. Tak dawno ono nas uczy! Nie pojmuję też, czemu go tak ciągle powtarza. Czy sądzi, żeśmy niepojętni? Bynajmniej. Może więc nie marnować sobie papieru długimi artykułami rozmaitych „członków,“ lecz po prostu pisać nagłówki i zaczęcie: „Polonizacya...“ a my sobie dokończymy, czyba że mu tak dużo tego papieru zbywa po śmierci p. Makuszewa. W takim razie — nie przeszkadzamy.

Czyż to nie grzecznie? Już tego przymiotu zapewne *N. Wremia* nam nie zaprzeczy. Jesteśmy dziś w Europie narodem najgrzeczniejszym. Proszę popatrzeć na inne — co to za swawolniki! Tymczasem my sprawowaniem się zasługujemy ciągle na *piątkę*. Że w cenzurze z innych przedmiotów, zwłaszcza języków, dostajemy stopnie *małe* lub *niedostateczne* — zgoda, ale za co *N. Wremia* odmawia nam *wzorowego* sprawowania się, tego nie pojmuję. Nawet bracia nasi figlują, my nie dajemy żadnego powodu do nagany. Skądże więc ta surowość? Czy może...

Za moich czasów szkolnych był w gimnazyum lubelskiem urzędnikiem od dzwonka i rózgi jegomość Terlecki. Wydzwaniał godziny akuratnie a bił uczniów jeszcze akuratniej... Należałem do tych, którzy tej drugiej jego zdolności nigdy nie doświadczyli. Raz zatrzymuje on mnie przy drzwiach i powiada z wytrzeszczonemi od gniewu oczami:

— Dla czego ty mi się nie kłaniasz?

— Mam sprawowanie się wzorowe—odpowiadam przerażony.

— To największe gałgany z wzorowem sprawowaniem się — mruknął stary i pogroził: Poczekaj, niech ci się noga powinie!

Od tego czasu wiem o istnieniu ludzi, którzy nie cierpią wzorowego sprawowania się i wyczekują chwili, ażeby noga się powinęła.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Orkiestra króla Dawida i nasza. — Cymbały głośne i krzykliwe. — Nasze bębny i piszczałka w kaplicy Kaliszanina. — Donośna trąba i straż ogniowa p. Kobierzyckiego. — Świątynia Salamona i nasze materyały budowlane. — Twardy dobrodziej.

„Chwalcie pana na cymbałach głośnych, chwalcie go na cymbałach krzykliwych, chwalcie go na bębnie i piszczałce, chwalcie go na trąbach i kotłach — aleluja!“

Tak wołał kiedyś natchniony król Dawid, pragnąc, jak się zdaje, odwrócić uwagę Jehowy od swoich niezbyt legalnych stosunków „z oną, która była Uryaszową.“ My, jako lud wybrany, przynajmniej do czasów ostatnich, wytrwale wstępujemy w ślady króla-proroka, wyprawiając naszemu bóstwu narodowemu ciągłą kocią muzykę. W działalności tej skutecznie wspiera nas myśl, że instrumentów potrzebnych nie zabraknie nam nigdy. Rozejrzymy się w orkiestrze.

„Chwalcie Pana na cymbałach głośnych.“ Jeden egzemplarz tego dźwięcznego narzędzia chwały zabrzmiał teraz w kościele *Echa*. Motto hymnu streszcza się w słowach: „panie dobrodzieju“ a treść jego mówi o wielkich *ofiarach*, jakie „panowie dobrodzieje“ ponosić muszą dla dobra samorządu gmin. Głośny instrument, chcąc zmniejszyć brzemię „poświęceń“ śpiewa dalej, iż jedna część udziału ziemian w sprawach gminnych dałaby się z dawnym skutkiem rozpuścić w stężonym ekstrakcie gorliwości pewnych figur, poza obrębem gminy stojących. Ha, skoro nam już tak obrzydła autonomia, to możemy zrobić z niej prezent chociażby na rzecz naszych społecznych alchemistów. Zauważę tylko, że o ile dla gminy pożądanym jest udział „starszej braci,“ o tyle zbytecznym w niej się okaże zawsze pierwszy członek orkiestry dawidowej.

„Chwalcie Pana na cymbałach krzykliwych.“ Najkrzykliwsze okazy zgromadził pan niedawno ku chwale swojej na jarmarku skaryszewskim; ale szatan pychy przyszedł, aby dusze ich opętać, a duma dyabelska sprawiła, iż — zamiast nazywać się tak, jak „stoi w piśmie“ — przezwały się one „dziundziurami.“ Prasa warszawska, którą nieboszczyk Homer nazwałby samo-otumanioną, uwierzyła oddawna, że ta część orkiestry narodowej była wymysłem wrogów naszych, którzy stanąwszy z dalcka, mówili nam: hej! hej! Okazuje się jednak, że „uciesznі błazenkowie“ żyją jeszcze. Powiem, jak orator rzymski: „Żyją? immo vero! nawet do Skaryszewa przychodzą“, a krzycząc tam i hałasując niemiłosiernie, ofiarują na raz aż sześć pojedynków śmiałkowi, który „sprawiedliwie chodząc przed panem,“ zapragnął zapędzić ich napowrót do orkiestry Dawida.

Och, biedne te nasze bębny! Kto wie, czy nie największą z nich ofiarę składamy rok rocznie na ołtarzu naszego Molocha. Wyroki Opatrzności są niezbadane; więc też nic dziwnego, że narzędziem chwały boskiej odnośnie do naszych bębnów bywa to jakiś garnek z ukropem, to szaflik wody, to kawałek węgla, to ostrze siekiery, to nakonice okrutne prosię, którego serce nie zna litości... Niebo ma z tych operacyj taką korzyść, że liczba jego aniołków ciągle się zwiększa a *Gazeta Lubelska* może przynajmniej z dumą zaświadczyć, że bohaterstwo jeszcze z pośród nas nie wyginęło, gdyż „chłopczyna przez cały czas zszywania rany nie wydał ani jednego jęku i najspokojniej zabawiał się jabłkiem.“ Chłopczyna ów miał przed paru dniami nieprzyjemność obcięcia sobie wszystkich palców siekierą, której nie sprzątnęła ciemna i do krwawego potu zapracowana matka...

„I na piszczałce.“ Lichy ten instrumencik odezwał się niedawno w kapliczce *Kaliszanina*. Tym razem jednak cienkie tony piszczałki skierowane są nietylko ku chwale Jehowy, ale i na ubłogosławienie p. Prądzyńskiego, który, jak wiadomo, zasłużył się naszemu społeczeństwu przez wyrzucenie na mróz chorej kobiety—swojej wierzycielki. „Prasa zapatrywała się na całą tę sprawę ze stronniczem uprzedzeniem.“ Prawda. Nie rozumiem nawet, jak można tak waśnić z sobą warstwy ludności; kazało się panie parobkom wyrzucić babę i cicho... sza! Nikt by o niczem nie wiedział, nikt by się nie gorszył. Ojcowie nasi nie takie rzeczy robili i było dobrze. Bodaj to piszczałka! Potrafi ona Bogu postawić świeczkę i dyablu ożóg. Pomimo to radzę ci, zacna duszo, zachowaj twoje słodkie „Gawędy“ dla *Przyjaciela dzieci*, którego czytelników już sama redakcya przygotowuje do słuchania kołysanek — i zjadania cukierków z-lukrecyą.

„Trąbę“ jak na dzisiaj jedną tylko ujrzałem w perspektywie, ale za to donośną. Zagrała ona pogrzebowego marsza dla prywatnej straży ogniowej p. Kobierzyckiego. Muzykantem musiał być jakiś „starszy pomocnik młodszego pisarza,“ któremu nie podobała się może barwa strażaków, a na którego słusznie oburza się teraz *Gazeta Polska*. Pan Kobierzycki zechce zapewne upomnieć się u władzy wyższej o swoje, niesłusznie napastowane prawa.

Ojciec Salomona nie poprzestał, jak słychać, na gołosłownem wychwalaniu Jehowy. Zgromadził on był wszystkie materyały potrzebne do budowy wspaniałej bóżnicy, którą polecił względom swego mądrego syna. My również nie kontentujemy się muzyką cymbałów i piszczałek, ale zbieramy materyały — do budowy naszej świątyni społecznej. Mamy już nawet niektóre potrzebne sprzęty i ozdoby. Posiadamy naszą „arkę przymierza między dawnemi i nowemi laty“ dla której nie zdobyliśmy się tylko na przyzwoitą oprawę, pomimo starań pp. Dykasa i Martynowskiego. Od czasu kongresów literackich otrzymaliśmy siedmioramienny świecznik mądrości, który ulokowawszy się na Placu teatralnym, zaczął ostatnimi czasy kopcić niemiłosiernie. Ale nasze materyały budowlane mogą zafrasować przyszłego Salomona. Zacznijmy przegląd od *fundamentów*. Podstawą gmachu społecznego jest lud, który u nas nosi miano „poczciwych kmiotków.“ Dla jednych z tych „poczciwych“ ideał narodowy „iści się“ w pęcherzu z gorzałką, a walka o byt społeczny redukuje się do bójki ze strażą graniczną, dla innych celem życia jest zwodnicza nadzieja załatwienia sprawy serwitutów, ajedyną gwiazdą przewodnią do tego celu — znachory i pokątni doradzcy, inni nakoniec orząc czarną skibę przy pomocy jednej krowy i jednej żony — o żadnych celach i walkach nie wiedzą.

Ściany i filary budowy — na których zamiast dekalogu widać tarcze herbowe—zarysowują się co chwila; byłyby zresztą piękniejsze i trwalsze, gdyby nie zapomniano powybijać w nich okien. Brak światła i świeżych powiewów sprzyja rozwijaniu się na nich pleśni i grzybów.

Cement naszej świątyni, mający wiązać części dolne z górnemi, nie wszędzie jednako powinność swoją wypełnia i ściślej przylega do ścian i do filarów, niż do fundamentów. Na gruncie jego wyrastają bluszcze i inne roślinki, pnące się do góry po filarach i kolumnach. Na zżółkłych liściach rozsiada się tu i owdzie jakaś filoksera próżności i zbytku... Jedną taką roślinkę, którą robactwo stoczy zapewne niedługo — spostrzegam teraz nad brzegami Niemna. Jak ci się podoba, czytelniku, biedny urzędnik, który na wesele siostry wydaje sumę prawie trzy razy przenoszącą jego całoroczną pensyę... Ho, ho panie, u nas oszczędność przedewszystkiem; ale taka sobie oszczędność — hamletowska: „odegrzane resztki stypy pogrzebowej — służą na uraczenie biesiadników weselnych...“

Jeszcze smutniej przedstawiają się kapitele kolumn i ozdoby szczytowe świątyni. Szlifują się one starannie na brukach Paryża i Wiednia i jeżeli czem mogły się nam zasłużyć, to tylko swoją nieobecnością.

Powracając z wycieczki na prowincyę, zbliżałem się już do miasta i miałem właśnie przejść przez rogatki, gdy uwagę moją zwróciła na siebie kupka ludzi. Stała ona w bramie cmentarnej, rozprawiając żywo. Na ziemi z poza nóg biedaków świeciło białe drzewo sosnowej trumny. Zbliżyłem się do nich, pamiętając, iż relacye o wypadkach zarogatkowych należą do mnie.

— No, to już chyba tak — wołał jakiś stary wyrobnik — ja dam złotówkę, wy Jędrzejowa moglibyście dać ze 20 groszy, a reszta niech dadzą po dysce, to się zbierze pół rubla.

Jędrzejowa protestowała trochę, ale dobre serce, czy też ambicya przemogły i dała 20 groszy. Stary zebrawszy pieniądze, poszedł z niemi do plebanii.

— Cóż to za składka i dla kogo? — spytałem.

— Ech bo to, proszę pana — zaczęła Jędrzejowa — zmarło się oto kobiecinie — wdowa po wyrobniku; nie chcieliśmy płacić w magistracie pół rubla, bośmy myśleli, że ksiądz nam tutaj za darmo pochowa... ale dobrodziej twardo się trzyma... *Złożylim się*, trudno, toć człowiek nie pies, żeby tak ani kropelki wody święconej mu nie dać...

Opowiadanie to przerwał powrót starego wyrobnika, który przyszedł, pobrzękując gniewnie zebranemi w dłoni miedziakami.

— A widzita namyślił się dobrodziej, nie wziął pieniędzy — zawołało kilku.

— A nie wziął tego pół rubla, ino chce 10 złotych.

Twarze przeciągnęły się. Na niektórych zjawiły się odblyski gniewu.

— Pochować bez księdza i już! — zawołało dwóch młodych zuchów, usiłując podnieść trumnę z ziemi.

— Nie, nie! zaczekajcie — przerwał znowu stary. Trzeba dać 10 złotych... niech mu tam Bóg nie pamięta! Nieboszczyk jej — wskazał na trumnę — pożyczył mi raz *dwóję* (dwa złoty) kiedym był w biedzie... Ja mam tutaj rubla — dam 5 złotych; wy złóżcie resztę... nie można bez święconej wody... dusza błąkać się będzie...

Wśród szmerów i westchnień gromadki zebrano jakoś żądaną kwotę. Inicyator składek zwycięskim krokiem pomknął się ku probostwu.

— O la Boga — zawołała raptem Jędrzejowa, a dyć ja miałam kupić kaszy dla dzieciaków... trojak mi tylko pozostał...

Wykrzyknikowi temu, odpowiedziało tylko echo kroków starca, który poniósł „dobrowolną ofertę,“ co łaska...

Powróciłem do miasta, aby opowiedzieć w „Perspektywie,“ że „dobrodziej twardo się trzyma.“

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 28 marca.

Akcya wyborcza w Galicyi i stronnictwo stańczyków. — Argumenty *Norddejcerki* przeciw posłom polskim.—Przepędzanie ministrów przez księcia kanclerza. — Niezadowolnienie pobożnych życzeń bonapartystów. — Zemsta fenianów irlandzkich.

Z powodu wyborów prasa galicyjska wyraża gorące życzenia, aby wydział krajowy postarał się o taki termin zwołania sejmu, żeby pierwsza jego sesya nie skończyła się na samem uchwaleniu budżetu, dopełnień do podatków i myt drogowych, jak to się już w Galicyi zdarzało, niestety! Jednocześnie utworzenie w Krakowie komitetu głównego wyborczego wywołuje silną agitacyę przeciwko jego organizacyi, która całą Galicyę zachodnią rzuciła na pastwę stronnictwa stańczyków. Na szczęście przeciw temu dokonywa się tam zwrot wyraźny i to nie tyle w skutek działania opozycyi, ile raczej w skutek samego rozkładu stronnictwa. Dziś krytykować jego działalność byłoby już zbytecznem. Zdołało ono przywieść zasady swoje i tendencye do kresów niedorzeczności. Zdobyło wpływ pod hasłem: „kraj w niebezpieczeństwie“, a utraciło go wśród przeświadczenia ogółu, że gdyby losy kraju nadal były w tem samem ręku, toby dopiero w prawdziwem był on niebezpieczeństwie. Zdobyło sobie panowanie pod hasłem reformy a utraciło je jako partya wsteczna, znienawidzona, której jądro stanowi egoistyczna klika możnowładcza. Osiągnęło wpływ jako jednostronny, ale historyczny wyraz pewnych potrzeb, pewnych wymagań politycznych —utraciło go przeżywszy te potrzeby, straciwszy razem z niemi racyę bytu. Dość było usunięcia się jeszcze z widowni jednej i drugiej głowy stronnictwa przez śmierć, czy słabość i zużycie, aby proces rozkładowy posunął się szybko. Obecnie została tylko zewnętrzna organizacya, zostało jądro t. j. oligarchiczna klika, ale podstawy zniknęły. Punkty programu, które stanowiły racyę bytu stronnictwa, przeżyły się i stały bezprzedmiotowymi. Następowała stopniowo próżnia, a tymczasem rozgospodarowywał się coraz bardziej żywioł, stanowiący rdzeń partyi stronnictwa, z natury swej wsteczny—oligarchia. Stańczykowstwo w swej formie specyficznej w Galicyi już zbankrutowało, a teraz usiłuje szukać jeszcze prozelitów w innych częściach kraju. Obecny ruch wyborczy w Galicyi przedstawia już dość silną reakcyę przeciw gospodarce krakowskiej.

Polakożercza *Nord. Allg. Zeitung* do odrzucenia żądań posłów poznańskich w sejmio pruskim dała charakterystyczny komentarz, o którym mówimy szczegółowo na innem miejscu.

Według teoryi granic geograficznych tego dziennika zabrano już Austryi Szlązk i pozbawiono kawałka dzisiejszej Bawaryi. Bismark wskazał jej punkt ciężkości w Peszcie, a zaborczość pangiermańska marzy o czeskim klinie, wchodzącym w państwo niemieckie. A więc można amputować Austryi całe kraje od zachodu, północy, wschodu i południa. I to pisze właśnie organ kanclerza, który bardziej niż ktokolwiek złamał w Austryi państwowy charakter niemiecki i przyspieszył tem samem konieczną przemianę w kierunku narodowo-federacyjnym.

Sfery rządowe niemieckie zaczyna coraz bardziej ogarniać niepewność i niepokój. Po upadku ministra wojny Kamekego nastąpił nagle upadek szefa admiralicyi Stoscha. Pałace ministeryalne w Berlinie zaczynają coraz częściej zmieniać swoich lokatorów. Wybuchy niełaski księcia kanclerza wysadzają w powietrze już dwunastego z rzędu ministra. Przyczyną tego częściowego przesilenia gabinetowego było głównie memorandum Bismarka, złożone bezpośrednio cesarzowi. Objawy nowego niezadowolnienia „żelaznego księcia“ nie przeszły niepostrzeżenie. Poufni jego utrzymują znowu, że jedynie z największym wysiłkiem woli spełnia swoje urzędowe obowiązki i że będzie potrzebował znowu długiego urlopu dla wypoczynku. Pomimo tych zapewnień widocznem jest, że nie tylko względy zdrowia skłaniają ks. Bismarka do tego zamiaru. Wszystko zapowiada, że po dotychczasowych zmianach ministeryalnych w Ber-

linie nastąpią jeszcze dalsze. Czy Niemcy na tem wiele skorzystają? Najprawdopodobniej zadowolni się tylko humor starego despoty.

W Paryżu, pomimo straszliwych zapowiedzi legitymistycznego *Gaulois*, panuje bez przerwy spokój i cisza. Pantera batignolska, Pochodnia belwilska, Pomsta anarchiczna, Nitrogliceryna i inne tym podobne stowarzyszenia anarchistów śpią cicho i nikogo nie płoszą. Najbardziej z tego niezadowoleni bonapartyści, którzy największy mieli interes w mąceniu wody i którzy najgoręcej pragnęli wykopać przepaść pomiędzy ludem a rządem rzeczypospolitej. Wprawdzie niepomyślne położenie przemysłowe i bieda wśród robotników są głębszą przyczyną zaburzeń ostatnich, to pewna jednak, że gdyby nieprzyjaciele rzeczypospolitej nie korzystali z tych okoliczności dla urzeczywistnienia swych samolubnych zamiarów, to cały ruch mniej byłby niebezpiecznym.

Obawa o nowe zamachy dynamitowe na gmach parlamentu i inne instytucye rządowe zmusza policyę angielską do przedsiębrania nadzwyczajnych środków ostrożności. Całe bataliony wojska wyznaczono specyalnie dla strzeżenia gmachów rządowych, a nawet Banku angielskiego, któremu grozi wielkie niebezpieczeństwo. W całej Anglii panuje uczucie niepewności i obawa złowrogiej zemsty nieprzejednanych irlandczyków.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Serbowie w Kroacyi. Smutny ze wszech miar i wcale niepożądany widok przedstawia walka dwu bratnich narodów w Galicyi. Również smutnem a zarazem dla nieznającego południowo-słowiańskich stosunków dziwnem jest współzawodnictwo dwu stanowiących jeden naród ludów, współzawodnictwo, nie rzadko kończące się w pojedynczych wypadkach krwawą bójką i prowadzące do narodowego nawet odstępstwa. Te dwa ludy, to chorwaci i serbowie, jeden tworzący naród: serbochorwacki. Różnice, rozdzielające te dwa jednego drzewa konary, akcentowane były dawniej znacznie silniej, dzisiaj po wyrzeczeniu się przez chorwatów narzecza na korzyść serbczyzny redukują się jedynie do zakresu religii i — pisma. Wierzyć też dla tego trudno, ażeby prawosławny serb tak dalece mógł nienawidzieć rodaka swego, wierzącego w nieomylność papieża, i nie uznawać w nim brata, iżby zdolnym był łączyć się z włochem naprzykład w Dalmacyi, aby tylko nienawistnego sobie żywiołu chorwackiego, używającego c zamiast ч, nie dopuścić do władzy... Niestety tak jest i nie zanosi się wcale na to, aby było w przyszłości lepiej. Obecnie po przyłączeniu Pogranicza wojskowego do Chorwacyi wzmoże się żywioł serbski w trójjedynem królestwie a walka, której polem była dotychczas prasa przeważnie, wejdzie w nowe stadyum — parlamentarne. Czynią się też już kolosalne przygotowania do wyborów z Pogranicza, przy których zetrą się, dwa nienawidzące się na śmierć stronnictwa. O tych smutnych stosunkach czytamy w *Parlamentärze* wiedeńskim wywód obszerniejszy, z którego podajemy tu kilka urywków.

„Zgromadzenie serbów w Mitrowicy, w którem wzięło udział także wiele osobistości z Nowego Sadu, postanowiło, że tworzący się klub serbski w zagrzebskim sejmie popierać będzie rządy bana Pejaczewicia (znanego madyarofila. *Przyp. red.*). Wiadomość ta, podana przez biuro korespondencyjne, potwierdza zatem najzupełniej wieści, jakoby znużeni długą a bezskuteczną walką z węgrami serbowie wejść mieli teraz na „grunt praktyczny“ i zarzekając się w części dawnego programu, punkt ciężkości politycznej swej akcyi zamierzyli przenieść z Węgier do Kroacyi, w którym to celu przechylają się na stronę bana Pajaczewicia, gdyby zaś nie znaleźli w Kroacyi sprzymierzeńca, poszukaliby go sobie w Węgrzech. Wiadomość ta musiała rzeczywiście wprawić w żywszy ruch wszystkie polityczne koła chorwackie, a istotni patryoci zauważyli ze smutkiem, do jakich następstw prowadzi nieszczęsny spór między dwoma narodami i jak daleko zawieść jeszcze może; to najświeższe bowiem stanowisko serbów w Kroacyi nie jest wcale wynikiem zimnej politycznej rachuby, ale bezmyślnej zawiści, która popchnęła dalmackich serbów w objęcia włochów, tracz zaś każe im szukać punktu oparcia u bana Pejaczewicia i węgrów, u których nie zyskali dotychczas nic podobno“.

Jeżeli co, to przedewszystkiem stanowisko, jakie zajmuje w tej sprawie prasa węgierska, powinnoby serbom otworzyć oczy na prawdziwe ich postępowania znaczenie, gdyby nie byli namiętnością zaślepieni. Wita ona wprawdzie nową serbską partyę wogóle sympatycznie, mimo to nie może ukryć swej radości na widok bratniego boju. I tak zapewnia jeden po niemiecku pisany organ węgierski, że „z wielkim wprawdzie interesem, ale zarazem zimną krwią“ śledzić będzie rezultaty tej walki, jak gdyby chodziło tu o jaką wesołą farsę! Podobną postawę wobec serbów zajęły i inne pisma.

Domowa wojna w łonie żydowskiego społeczeństwa Galicyi toczy się z coraz większą zaciekłością. Jest to odwieczna walka Ahrimana z Ormuzdem, borykanie się świetlanych pierwiastków z nocnemi ciemnościami, którego wynik ostateczny nie tak trudny jest do przewidzenia.

Rozłam ludności żydowskiej w Galicyi na obóz postępowy i tabor wsteczników uwidocznia się coraz wyraźniej. Liberalni żydzi nie darmo pracują nad oświatą ciemnych swych braci: prozelitów idei postępowych zyskują nieustannie, szerzeniem oświaty wzmacniając swe nieliczne jeszcze szeregi. Nie zasypiają sprawy i przeciwnicy. Praca ich jest jednak o tyle łatwiejszą, o ile łatwiejszem jest przekonanie Maćka, że w trójkącie na obrazku mieści się oko Boga, czuwające nad jego chatą, niż wytłomaczenie mu pożytków, płynących z asekuracyi. Ciemnym masom żydowstwa imponuje jeszcze ciągle głos „rebe“ (cudotwórcy) Schreibera i trzymających z nim rabinów, obawiających się utraty wpływów dotychczasowych. O sztuczkach, jakich się chwyta stronnictwo chasydów galicyjskich, aby tylko utrzymać się przy dawniejszem znaczeniu, mocno ostatnimi czasy osłabionem, wydał we Lwowie traktat niejaki Zygmunt Fryling, p. t. *Klątwa galicyjskich rabinów i cudotwórców*. Rozbiera on przedewszystkiem działalność stowarzyszenia *Machsike Hadath* i rabina Schreibera, przewódzcy galicyjskich zacofańców.

„Fanatyków żydowskich — mówi — a głównie i cudotwórców przeraziły postępy, jakie robi od lat kilkunastu uobywatelenie i asymilowanie się ludności izraelskiej z resztą społeczeństwa. Rabinom nie chodziło o religię: ta była dla przeważnej części tylko płaszczykiem ich szarlataneryi. Spostrzegli oni naraz, że poczynają tracić wpływ i znaczenie, że na tem w rezultacie stracić musi ich interes materyalny, uszczuplić się muszą ich dochody. Zrozumieli, że w miarę postępu oświaty nie tylko tracą z każdym dniem coraz więcej owieczek, które składały się na *plebs contribuens*, ale co gorsza, że te owieczki, ożywione światłem cywilizacyi, nie tylko przyszły do samowiedzy, ale z poczucia obywatelskiego obowiązku poczęły zajmować się swymi współwyznawcami i wołać: o więcej światła dla wszystkich!.

To było rabinom solą w oku. Woleliby oni, ażeby postępowi żydzi wyrzekli się raczej swej wiary i przeszli na łono innego kościoła; wtedy bowiem pozbyliby się przeciwników, którzy znają się na sztuczkach fałszywych proroków. W braku innej broni głoszą zatem, że najniebezpieczniejszymi wrogami żydów są postępowcy, że wszelkie prześladowanie ludności izraelskiej ze strony chrześcian pochodzi stąd, jakoby żydzi-postępowcy rywalizowali z chrześcianami Za to mają ich chrześcianie nienawidzieć a nie mogąc się mścić na postępowcach, tłumowi starowierców dają się we znaki. Twierdzą dalej husyci, że gdyby kiedy i w Galicyi powstać miały rozruchy antisemickie, to wina ich ciążyć będzie na żydach postępowych. W *Machsike Hadath* czytamy, że postępowcy a nie kto inny, sprowadzają klęski na synów Izraela,' że starają się za pomocą towarzystwa „Agudes Achim“ o zasymilowanie żydów z resztą społeczeństwa, co zgubnem ma być dla judaizmu, gdyż „połączenie się żydów z narodem“ nie zgadza się z duchem religii majżeszowej, — tych zaś izraelitów, którzy podjęli się trudnej misyi pracowania nad zacofaną częścią ludności izraelskiej, odsądzają w tem piśmie rabini od czci i wiary, od wszelkich praw, uważając ich za bezbożników i radząc im, „aby się wychrzcili.“

Interwiew z pewnym członkiem Koła polskiego o wynikach prac wiedeńskiego parlamentu miał w tych dniach korespondent jednego z pism galicyjskich. Rozmowę tę, rzucającą pewne światło na stosunki parlamentarne w Wiedniu i zawierającą kilka nowych poglądów na sprawy galicyjskie, podajemy w streszczeniu.

Korespondent: Czy też rzeczywiście niepodobieństwem było usunąć sprawę noweli szkolnej z porządku dziennego, czy nie można jej było ubić tak, jak się domaga tego większość krajowego dziennikarstwa?

Poseł: Wszystko to, co piszą w kraju o tej sprawie, polega na niedostatecznej jej znajomości. Stanowczo oświadczyć muszę, iż usunięcie jej z porządku dziennego było absolutnem niepodobieństwem. Do prawicy należy przecież także klub ks. Lichtensteina, bez którego większość nasza przestałaby być większością. Klub ten jest ściśle związany z częścią klubu czeskiego, a mianowicie z obu Clamami i z ks. Lobkowiczem. Książęta Lichtensteiny, Alfred i Alojzy, postawili sobie trudne zadanie wytworzenia w prowincyach czysto niemieckich stronnictwa autonomicznego, żądającego sprawiedliwości dla różnych ludów a reprezentującego interesy ludności rolniczej. Udało im się stanąć na czele pewnej grupy włościan, chcąc jednak stanowisko swoje utrzymać, a w danym razie wzmocnić, muszą zadosyć czynić żądaniom tych włościan, domagających się przedewszystkiem, by dziewki i parobczacy czternastoletni nie potrzebowali całych dni (?) spędzać w szkole. Żądali tedy dla swej ludności wiejskiej prawa obowiązującego w Galicyi od dawna. Jużciż myśmy im tego żądania odmówić nie mogli. Przez dwa lata atoli droczył się z nimi rząd, a że równocześnie fiskalizm robił swoje, aby zaszkodzić prawicy, stanęły rzeczy tak, że istnienie większości stało się zależnem od uchwalenia noweli szkolnej.

Koresp.: Ale czyż warto było narażać na szwank zasadę autonomii dla utrzymania dzisiejszej większości?

Poseł: Nie. Obrona praw kraju naszego jest pierwszym Koła obowiązkiem. Silne stronnictwo wypowiada wprawdzie zdanie, żeśmy się powinni starać przedewszystkiem o posiadanie wielkich wpływów w Wiedniu, opinia to jednak mylna, kierunek zgubny. Mimo to koło nie zapomniało o swoich obowiązkach, odrzucając w Izbie panów nowelę w tej formie, w jakiej ją wniósł rząd. Jeżeli zaś Izba posłów uchwali ją w brzmieniu, podanem przez Izbę panów, będzie to dla nas nader cenny nabytek, który rozszerzy naszą autonomię, uczyni zadość dawnemu żądaniu kraju, zamieniając w prawo najważniejsze nasze przywileje szkolne, dotąd oparte na rozporządzeniach tylko, a w wykonaniu, niestety, zupełnie zapoznawane.

Koresp.: Czy sądzisz pan, że będzie można spełnić choć jedno z najgorętszych życzeń kraju, tylokrotnie i z takim naciskiem wypowiedzianych? Czy otrzymamy fundusze na regulacyę rzek, czy zarządy kolei będą przewiezione do kraju i czy powstanie wydział medyczny we Lwowie? Kraj jest tego zdania, że dzisiejsza większość podatki tylko i same podatki uchwalać umie...

Poseł: Tego roku może być kraj spokojny: nowych podatków nie uchwalimy. Zmienimy tylko ustawę o należytościach, a sądzę, że na zmianę tę ludność wcale narzekać nie będzie. Niestety, przybędzie i mały ciężar, ale to już nie z winy Koła: zostanie tylko spełniona wola sejmu co do ugody indemnizacyjnej. W sejmie głosowałem przeciw tej ugodzie, ale jest to dla mnie dogmatem politycznym, że Koło polskie wiedeńskie nie przestało być delegacyą sejmu

że winno jego wolę wykonywać i pamiętać o tem, iż tylko sejm jest prawdziwą reprezentacyą kraju. Dla tego powinno starać się o przeprowadzenie ugody indemnizacyjnej.“

Po tej rozmowie, korespondent, który widział przedtem „różnicę pomiędzy tem, czego sobie kraj życzy, a tem, co uczyniło Koło dla kraju,“ uczuł się spokojniejszym... Żałujemy, że i my także nie możemy tego o sobie powiedzieć. Nie możemy zaś z tego powodu, że szanowny poseł, który, jak to wywnioskować można z całego tonu wywnętrzania się jego, należy do mniejszości Koła, nie odpowiedział wcale na ostatnie zapytanie, a że nie zauważył tego korespondent *Dziennika*, dziwimy się wielce... Trudno być spokojnym dla tej również przyczyny, że Koło, chwytając się oburącz faktycznie już dzisiaj tylko mary *delegacyjnej*, zamierza stanąć w sprawie indemnizacyjnej na stanowisku doktrynerskiem i aprobować błędny krok sejmu, dla tego jedynie, że jest sejmu tego delegacyą...

Wyłączność partyjna. Jeszcze nie ostygły zwłoki bar. Bauma a Koło polskie w Wiedniu przystąpiło czemprędzej do wyboru jego następcy. Zmarły był, jak wiadomo, wiceprezesem Koła, któremu przewodniczy Grocholski, a zaliczał się do mniej rządowego odcienia partyi krakowskiej, z której wystąpił wraz z kilkunastu innymi po sławnej ultralojalnej mowie dr. Zatorskiego. Mimo to był doskonałym stańczykiem i figurą u rządu mile widzianą. Na opróżnione po nim stanowisko postanowili towarzysze krakowskiej chorągwi wprowadzić koniecznie człowieka, wyznającego ich zasady, tak, aby oba najważniejsze w Kole posterunki spoczywały w rękach konserwatywnych. Istnieje zwyczaj parlamentarny, że, jeżeli godność prezesa piastuje członek większości, to zastępstwo oddaje się kandydatowi, popieranemu przez mniejszość. Ale stańczycy pogardzają tego rodzaju sentymentami. Nie inaczej zachowali się i w obecnym wypadku. Większością paru zaledwie głosów przeparli swojego kandydata, p. Apolinarego Jaworskiego, przeciw kandydatowi również liczbą poważnej mniejszości liberalnej, księciu Jerzemu Czartoryskiemu. Tym postępkiem Koła zgorszyła się (prócz *Czasu*) cała prasa galicyjska, zgorszył się kraj cały. Niezadowolonym z wyboru jest także *Dziennik Polski*.

„Jaką to „otuchę“ — pyta on — mógł obudzić świeży wybór? Czyżby powstała lub nawet mogła powstać w kraju obawa, że w łonie delegacyj podniesioną zostanie na stanowisko wiceprezesa kandydatura, którąby kraj zaniepokoić mogła? Odwołanie się bowiem do argumentu, że wybór ten świadczy o silnej organizacyi i wyrobionej pod tym względem tradycyi Koła, nazwalibyśmy czczym frazesem, gdyby zeń nie przezierała pewna wątpliwość, niczem niepoparta a czyniąca właśnie ujmę tej tradycyi, skoro dowodu na jej istnienie potrzeba było szukać — aż w ostatnim wyborze.

Jaki jednak związek logiczny istnieje pomiędzy silną organizacyą Koła a wyborem posła Jaworskiego na wiceprezesa, to, zaprawdę, trudno nam pojąć; myśmy byli przekonani, że organizacya Koła streszcza się w jego jednolitem i solidarnem działaniu *na zewnątrz*, w bezwzględnem poddaniu się uchwałom większości, lecz żeby rozciągała się ona i na wybory *w łonie Koła* dokonywane, gdzie każdy poseł nie tylko ma prawo, ale i obowiązek działać jedynie wedle własnych przekonań, — o tem poraz pierwszy dowiadujemy się z *Czasu* i to z tem większą pewnością, bo jeżeliby rzeczy tak się miały rzeczywiście, jak *Czas* dowieść usiłuje, to natenczas musielibyśmy zwątpić o samodzielności pojedynczych posłów i przypuścić raczej, że są oni jedynie wykonawcami woli i przekonań pewnych tylko osób.“

O PRAWDĘ.

(Z powodu zjazdu górników).

Wydrukowany w nrze 7 *Prawdy* artykuł J. K. Potockiego p. t. „Zjazd górników,“ nasunął mi na myśl kilka uwag, którym redakcya w interesie prawdy zapewne miejsca w szpaltach swojego pisma nie odmówi.

P. Potocki jest widocznie bezwzględnym stronnikiem wolnego handlu i prace zjazdu ocenia ze stanowiska wyznawanej przez siebie teoryi. Nie będę się z nim spierał, czy teorya ta do naszego kraju zastosowaną być może, bo pytanie to, jak sama redakcya *Prawdy* w przypisku zauważyła, zbyt łatwo w wielu razach rozstrzygniętem być może. Zwrócę tylko uwagę, że dzięki jedynie wysokim taryfom celnym mógł powstać i rozwinąć się przemysł żelazny w Stanach Zjednoczonych, które dopiero teraz, po utrwaleniu własnego przemysłu, o zniżeniu ceł myśleć zaczynają. Podobnież jedynie cła ochronne stworzyły ogromny przemysł cukrowniczy w południowo-zachodnich guberniach Cesarstwa a nie wpłynęły wcale na podniesienie się cen cukru, który teraz jest nawet znacznie tańszym, niż był wtedy, kiedy go sprowadzano z zagranicy. Obecnie już i bez cła przemysł cukrowniczy utrzymać się tu może (? Red.), a kilkadziesiąt milionów rubli, wydawanych dawniej corocznie zagranicę, stale już pozostają w kraju.

Nie broniąc wcale uchwały zjazdu, żądającej podniesienia cła na węgiel zagraniczny, muszę zwrócić uwagę autora, że niepotrzebnie dziwi się propozycyi uwolnienia od tej opłaty towarzystwa gazowego, którą zjazd bardzo słusznie motywuje tem, że kraj nasz węgla gazowego nie posiada. Ponieważ nie posiada on także węgla, dającego dobry koks, materyał niezbędny przy fabrykacyi żelaza, uchwalono więc zniesienie istniejącego obecnie cła od koksu.

Uwaga p. P., dotycząca drugiej uchwały zjazdu—powiększenia cła na sprowadzane z zagranicy żelazo surowe, dowodzi niezrozumienia bardzo jasno wyłożonych motywów tej uchwały, mającej na celu wykazanie stosunku fabryk krajowych do niemieckich. Właściciele budujących się u nas nad samą granicą niemieckich fabryk żelaznych opierają swoje wyrachowanie nie na produkowaniu ogromnej ilości wyrobów, ale przeważnie na tem, że będą przerabiać w tych fabrykach *tani* surowiec sprowadzony z zagranicy, na żelazo, gdy tymczasem fabryki krajowe w zachodnim okręgu przerabiają *drogi* surowiec, otrzymany z rud krajowych na zagranicznym koksie. Z powodu wielu warunków miejscowych ten krajowy surowiec długo jeszcze będzie znacznie droższym od szląskiego, a krajowe fabryki żelazne jeszcze nie prędko będą w stanie konkurować z niemieckiemi. Czyż więc nie lepiej dla utrzymania istniejących już fabryk i stworzenia nowych zaprowadzić cło od surowca, które wtedy może być zniesionem, kiedy nasze fabryki dorosną do konkurencyi z zagranicznemi? Nie jest to więc zachcianka kilku przemysłowców, ale konieczny wynik warunków, w jakich się przemysł żelazny w naszym, jak wogóle i całem państwie, znajduje. Uchwała podniesienia cła na surowiec do 15 kop. od puda nie wyszła tylko od naszych przemysłowców; to samo powtarzają odbywające się corocznie od lat kilku w Charkowie zjazdy górników południowej Rosyi. Tutaj przemysł żelazny jest dopiero w zarodku i podwyższenie cła na surowiec uważanem jest jako pierwszy warunek rozwoju tego przemysłu, nietylko przez krajowców, ale i przez francuskich kapitalistów, którzy potrzebnych dla założenia fabryk żelaznych środków dostarczyć zamierzają.

O podwyższeniu cła na rudę cynkową, o jakiem wspomina p. Potocki, wcale nie było mowy na zjeździe górników; przeciwnie uchwalono na nim zniesienie istniejącego obecnie na tę rudę cła, a proponowano natomiast zaprowadzenie cła od gotowego cynku zagranicznego. Dziwić się potrzeba takiemu przedstawieniu faktu jak również i twierdzeniu, że kraj nasz prawie wcale nie posiada rud cynkowych. W kraju naszym znajdują się bardzo bogate, w wielu miejscach jeszcze nietknięte pokłady rud cynkowych, które prawie nieprzerwanem pasem ciągną się od Olkusza na zachód aż do granicy szląskiej, a prowadzące się obecnie osuszanie kopalń olkuskich ma na celu głównie przyszłą eksploatacyę tej rudy (galmanu).

Posądzenie stronników uchwały o zniesienie przymusowego wywłaszczania ziemi, w celu dobywania rudy żelaznej, o cele czysto osobiste, jest niesprawiedliwem i obrażającem przynajmniej dla tych obrońców uchwały, którzy nie będąc wcale właścicielami ziemskimi, działali z pewnością w interesie dobra ogólnego.

S. Kontkiewicz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Odczyty. Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. dra Mianowskiego podaje do wiadomości, iż dla zasilenia funduszów Kasy, następujące osoby mieć będą odczyty publiczne w sali głównej Ratusza, w godz. od 7—8 wieczorem: I. Dr. Jędrzejewicz „O przejściu Wenery przez tarczę słoneczną“ — d. 4 kwietnia. II. Napoleon Milicer: „Żelazo w przyrodzie ziemskiej“ —d. 7 kwietnia. III. Stanisław Kramsztyk: „Aerolity“ — d. 11 kwietnia. IV. Bronisław Znatowicz: „Związki żelaza“—14 kwietn. V. Eugeniusz Pepłowski: „Otrzymywanie z rud surowca żelaza“ — 18 kwietnia. VI. Ludwik Wojno: „Żelazo kute i stal“—21 kwietnia. VII. Eugeniusz Dziewulski: „Własności magnetyczne żelaza i stali“—d 25 kwietnia.

Bilety na powyższe odczyty, w cenie: do krzeseł po kop. 60, 45 i 30, na galeryę po kop. 30 i wejście na salę kop. 20 będą do nabycia, poczynając od 1 kwietn. b. r. w redakcyi „Wszechświata“ (Podwal nr. 2 od godziny 5—7 wieczór), w księgarni Wendego (Krakowskie Przedmieście nr. 412a) i w biurze Kasy imienia Mianowskiego (ul. Mazowiecka, dom W. Kronenberga nr. 18 od godz. 10—4), oraz przy wejściu na salę.

Etna zaczęła wyrzucać lawę. Otworzyło się kilka nowych kraterów. Ludność Katanii w popłochu.

Jubileusz Rafaela (28 marca) obchodzony był we Włoszech nader uroczyście, zwłaszcza zaś w rodzinnem mieście nieśmierteinego malarza Urbino.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Ba. w Płocku. Najlepiej pana objaśni sam autor. My szczegółowego komentarza dać nie możemy.

Pani Reginie Ł. Nie.

P. Ksaweremu B. Przyznaje teraz sama strona interesowana, że zbłądziła, nie postarawszy się (bodaj przez ogłoszenia) o poznajomienie publiczności z artystyczną wartością tych utworów. Po prostu rzadko kto wiedział. Że zaś ci, co słyszeli, ulegli naturalnemu wrażeniu niechęci, którego nie złagodziła pewność ujrzenia prac cennych, zrozumieć i usprawiedliwić łatwo.

Zwolenniczce. Usterka jedna tylko: brak poezyi.

P. J. Z. Prosimy porównać ogłoszenia późniejsze. Przytoczono *dosłownie*.

P. Marjadamowi. Naprzód wszelkie historye filozofii, etyki i prawa. Ze specyalnych prac: Bersot, Paryż 1852, E. Buse Montesquieu u. Cartesius (*Philosoph. Monatshefte* IV, 1869). Ferd. Béchard, Paryż, 1872.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Марта 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.